
GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 155

PAŹDZIERNIK-GRUDZIEŃ

2021



KWARTALNIK ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław).

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa : www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82*

PKO BP I O. Poznań

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Na okładce: Zofia Chrzanowska broni Trembowli przed Turkami w 1675 roku. Litografia Josepha Antona Freymanna na podstawie obrazu Aleksandra Lessera z 1864 r.

SPIS TREŚCI

Stanisław BOGUMILSKI	
Moja droga (cz. VI - ostatnia).....	s. 1
Tadeusz JÓŹKÓW	
Moje wspomnienia (cz. III).....	s. 6
Bruno BROŻYNIAK	
Dzieciaki na wojnie. Wspomnienia czortkowiec (cz. II).....	s. 13
Jerzy STOPA	
Mój Ojciec Józef (cz. III).....	s. 20
Bogusława DUSZKIEWICZ, Kazimierz ORLICZ	
Wspomnienie o deportacji z Podola ze Strusowa pow. Trembowla do Kazachstanu (cz. I).....	s. 25
Eugeniusz JAWORSKI	
Wspomnienia o zesłaniach na Syberię, o których nie można zapomnieć	s. 37
Zbigniew ŻYROMSKI	
Zwyczaje ludności kresowej na Podolu (Cz. IV – ostatnia, październik - grudzień).....	s. 42
Igor MEGGER	
Uzupełnienie do artykułu na temat akcji likwidacyjnych AK w Czortkowie	s. 50
Jerzy MILLER	
Zapomniani pisarze z Podola cz. I - Antonina Domańska.....	s. 51
Marek SZPYTKO	
Wędrowniki po Kresach (cz. III).....	s. 53
Anna MADEJ	
XXXIV Tarnopolski Zjazd Kresowian	s. 55
Hanna GUDOWSKA	
Wspomnienie o moim Ojcu Kazimierzu Straszewskim.....	s. 59
Igor MEGGER	
XXIV Dni Lwowa to już historia	s. 61
Stanisława NOWOSAD	
Nikogo nie obchodzi (wiersz).....	s. 65
REDAKCJA	
Krzyżówka podolska, życzenia świąteczne, podziękowania, lista darczyń- ców.....	s. 66



Stanisław Bogumiński
Poznań

Moja droga

Cz. VI - ostatnia

Okres wojenny. Okres ten może być przedmiotem odrębnego tomu pamiętnika ze swoją przebogatą treścią. Nie będę się szczególnie nim zajmował, gdyż on nie wniesie wielu elementów do kształtowania się mojej drogi życia. Ważne jest tylko to, że jako oficer rezerwy zleciłem urząd swojemu zastępcy, a sam wyjechałem na mobilizację. Brałem udział w działaniach wojennych i przeżywałem wraz z innymi okropny wstrząs wskutek tragedii wrześniowej.

Po katastrofie, w przebraniu cywilnym, wyprowadziłem żonę z dzieckiem ze strasznie niebezpiecznego piekła w Stolinie i wywoziłem do jej rodziców w Rudzie Sieleckiej. Sam po nieprawdopodobnych przejściach, w których po stokroć zagładała mi śmierć w oczy, udałem się na tułaczkę (uciekłem) do Krakowa. Tam znalazłem gościny u moich kolegów z podchorążówki Pawlaka i Dekerta, pracując w charakterze robotnika z dzienną płacą w wysokości 4,50 zł/godz. w Zakładzie Oczyszczania Miasta. Mimo ciężkiego dzieciństwa, nie byłem nigdy w życiu tak głodny, jak w czasie wojny w Krakowie. Uczucie głodu jest straszne i kto nigdy nie był głodny, ten nie potrafi tego zrozumieć! Uważam dziś, że wobec głodu winny milczeć wszelkie prawa.

Deklasując się dobrowolnie, poznałem dokładnie środowisko robotnicze. Mimo że chodziłem głodny i prawie obdarty, to czułem się z robotnikami dobrze. To wielkie serce, jakie robotnicy i inteligenci sobie okazywali w tych ciężkich dniach roku 1939/40, nigdy nie zostało przeze mnie zapomniane. Układałem im piosenki, aforyzmy i dowcipy. Mam dużo dobrych wspomnień z tego okresu. Niezapomniany pozostanie w mej pamięci Włodek Stępniewski, który tak jak ja z wyższym wykształceniem zdeklasował się, by razem żyć z robotnikami i podtrzymywać ich w trudnych chwilach.

Ciężka robota w ZOM i wspólnie przeżyte chwile związały mnie po dziś dzień z tymi wspaniałymi krakowianami.

Na dłuższą metę jednak trudno było skazywać się dobrowolnie na nędzę, skoro wojna zaczynała się dopiero na dobre. Wobec tego w grudniu 1940 roku wróciłem do swojego zawodu – do Urzędu Skarbowego w Nisku nad Sanem. Pierwszym celem było przybliżenie się do swojej rodziny i pomaganie im w przetrwaniu, drugim zaś, by jak najwięcej podatku pozostało w kieszeni Polaków. Uważałem, że przetrwać możemy tylko wtedy, jeśli Polacy będą mogli liczyć na siebie i wzajemnie się wspomagać. Muszę podkreślić, że ta wielka mobilizacja zdała egzamin, bo jeśli jeden front partyzancki był w lesie, to drugi był w mieście wśród Niemców – front w walce o przetrwanie narodu. To była wielka nowa siła Państwa Polskiego, która ostatecznie zwyciężyła!

Urząd Skarbowy mieścił się w tym samym budynku i korytarzu, w którym mieściła się polska policja, do której dość często zaglądali gestapowcy. Każdy stuk gestapowskich butów w korytarzu napinał nerwy do ostateczności.

Pewnego zimowego dnia gdy siedziałem przy biurku, wpadł mój kolega z wojska Antek Soja. Wyglądał okropnie – błoto kapło zewsząd. Odpoczął chwilę, zostawił mi tajną gazetkę i odjechał w nieznaną rowerem. Był kurierem i kilka miesięcy później zginął na posterunku, rzucając się ze skutymi rękami przez okno wagonu na szyny kolejowe.

Pewnego dnia wyszedłem po południu do miasta. Naprzeciw mnie szła znajoma młoda kobieta, uginając się pod ciężarem dużej walizy. Zaofiarowałem się jej z pomocą, a ona uśmiechnęła się i skinęła głową. Nieśliśmy ten ciężar prawie przez całe miasteczko, mijając po drodze przechodniów, Polaków i Niemców. Gdy stanęliśmy przed domem i żegnałem tę panienkę, powiedziała mi na odchodnym: – Gdyby pan wiedział, co znajduje się w tej walizie, nie wiem, czy zdecydowałby się pan ją nieść ze mną... – Tam z pewnością była „bibuła”!

Po długiej nocy okupacji w końcu odwraca się karta historii i wojna dobiega końca. Powstaje Polski Komitet Wyzwolenia Na-

rodowego, a ja jako oficer zostaję powołany do Wojska Polskiego. Po różnych przejściach znalazłem się w Poznaniu jako zastępca komendanta Rejonowej Komendy Uzupelnień do spraw liniowych. I znowu przede mną stanęła otworem łatwizna życiowa, znowu mogłem zapisać się do partii politycznej (PPR) i wylądować daleko w Warszawie na jakimś dobrym stolcu państwowym. Krajać ten bochenek chleba z tej grubszej strony. Nie poszedłem jednak w tym kierunku – nie chciałem być jednym z grabarzy naszego skołatanego narodu. Chciałem być tylko tym szarym skromnym Polakiem podtrzymującym tłący się jeszcze płomyk wolności, w równie skromnych sercach ludzi mnie otaczających.

Okres powojenny (do 1956 roku). Po wyjściu z wojska na własną prośbę w 1946 roku, zostałem inspektorem finansowym w Zarządzie Miejskim miasta Poznania. Cały czas współpracowałem ściśle z prezydentem miasta Stanisławem Sroką. Okres ten należał do pięknych kart mojego życia. Tu dopiero dojrzałem w pełni. Korzystałem z zasobów Biblioteki Raczyńskich, teatrów, sal koncertowych, kin i tu postawiłem pierwsze kroki na polu publicystyki. Napisałem szereg artykułów do miesięcznika „Administracja i Samorząd na Ziemiach Odzyskanych” oraz wiele artykułów o tematyce społecznej do „Kuriera Wielkopolskiego”. Artykuły cieszyły się powodzeniem do momentu, kiedy musiałem zamilknąć z uwagi na wzmagający się terror stalinowski.

Na skutek nagonki na moją osobę, po przeniesieniu się prezydenta Sroki do Warszawy, związanej z moją pracą na stanowisku inspektora finansowego, nazwano mnie „wrogiem ludu”. Rozgrywka była osobista pewnego wrogięgo mi współpracownika, a całość odpowiednio opakowano i opublikowano w „Gazecie Poznańskiej” w styczniu 1950 roku.

W tym czasie dla mnie było to strasznie niebezpieczne i mogło zaważyć na losach całej ośmioosobowej rodziny, z którą razem mieszkałem. Wypowiedziano mi pracę i znalazłem się nagle bez środków do życia. Matkę, 85-letnią staruszkę, wywoziłem przy pomocy PCK z Kamionki Strumiłowej jeszcze w 1944 roku i w tej

sytuacji miałem ją też przy sobie. Troskliwie się nią opiekowałem, by spłacać jej mój dług wdzięczności do końca.



Zamek Cesarski w Poznaniu w 1945 roku, od 1948 roku siedziba władz miejskich, od 1962 „pałac kultury”. Od 1989 roku znajduje się w nim siedziba poznańskiego Oddziału TMLiKPW.

Cios był bardzo celnie wymierzony, więc pojechałem szukać ratunku u mojego byłego pracodawcy Stanisława Sroki. Istotnie, ten zacny człowiek podał mi rękę i wyprostował wszystkie oszczerstwa na mój temat. Przywrócono mi dobre imię, ale moje serce jednak nie wytrzymało. Na zawał chorowałem dwa lata zanim z trudem wróciłem do formy. Dobrzy ludzie, których poznałem w Poznaniu, nie pozwolili mi zginąć i dlatego przetrwałem na różnych podrzędnych stanowiskach.

W końcu zauważono mnie i zaproponowano stanowisko kwestora w jednej ze szkół wyższych w Poznaniu. Okres nazwać mogę śmiało okresem dojrzałości obywatelskiej. Środowisko wielkomięjskie pozwoliło wypełnić częściowo luki, jakie miałem od zarania swojej młodości. Tak intuicyjnie tęskniłem do osiedlenia się

w dużym mieście, że w momencie otrzymania propozycji pracy w Poznaniu (1945) nie namyślając się długo, skorzystałem z tej okazji. Dziś na własnych doświadczeniach stwierdzam, że człowiekowi dojrzałemu intelektualnie w końcu potrzebny jest tak zwany wielkomiejski szlif. Tu rozszerzył się mój horyzont i światopogląd, tu wreszcie dojrzało poczucie własnej wartości i możliwości twórczych na tle personalnych postaci i stosunków miejscowych, jako realnych sprawdzianów. Tu też dojrzało we mnie poczucie współodpowiedzialności za losy kraju i społeczeństwa. Dla zobrazowania swojej sylwetki dodam jeszcze, że po raz pierwszy w swoim życiu byłem w operze dopiero w Poznaniu, czyli w 36 roku życia. Tak samo poznałem się w tym mniej więcej czasie z wieloma innymi zdobyczami kulturalnymi.

Z perspektywy ostatnich 11 lat (1945–1956) mogę śmiało powiedzieć, że nie wykorzystałem w dostateczny sposób dobrodziejstw i zdobyczy kulturalnych miasta Poznania a mianowicie: w 1956 roku nie skorzystałem z możliwości zrobienia doktoratu i ewentualnie przerwania się w dziedzinę naukowo-dydaktyczną w tutejszych uczelniach, co było dość łatwe i zgadzałoby się z moimi dążeniami; nie powróciłem do publicystyki, która dałaby mi dużo satysfakcji. Drukowane artykuły upewniły mnie, że na tym polu miałbym dobre wyniki. Można by tłumaczyć sobie owe zaniedbania względami okresu stalinowskiego, który nie sprzyjał rozwojowi moich sił twórczych. Można by tłumaczyć te zaniedbania chorobami dzieci i wynikającymi stąd kłopotami finansowymi. Sam utrzymywałem ośmioosobową rodzinę, a wszelkie zgromadzone do 1939 roku walory pozostały na zajętych przez Rosję Sowiecką Kresach.

Jednym z powodów pewnego zastoju intelektualnego było z pewnością zmęczenie fizyczne, psychiczne i nerwowe jako skutek przejść wojennych i dotychczasowego niełatwego życia. Jedno jest pewne, że przy mojej osobowości i te przyczyny odpadłyby, ale muszę przyznać, że na tej poznańskiej drodze nie natrafiłem na bratnią duszę, na podobny typ człowieka, a może nawet na autorytet, z którym wspólnie mógłbym iść po drodze przeznaczenia. Od swojego zarania czułem zawsze przy sobie kogoś bliskiego, kogoś

niewidzialnego, kto pchał mnie do przodu. Obecnie ten wielki On też mnie nie opuścił, lecz kazał mi trochę wyhamować i odpocząć, aby zaczerpnąć sił do czekającej mnie jeszcze długiej drogi życia, już może bez wzlotów, lecz po to, by nie było upadków. By ta droga kształtowała mi się odtąd równiej – na co chyba sobie zasłużyłem!

Od redakcji: Autor wspomnień zmarł w Poznaniu w 1967 roku i tam został pochowany, żona Jego zmarła w roku 2000. Wspomnienia te zostały spisane przez autora w połowie lat 50., a opracowane i udostępnione redakcji przez Jego syna. Na prośbę rodziny zmieniono nazwisko autora – pozostałe nazwiska, miejscowości, fakty itd. pozostawiono bez zmian.

*Tadeusz Józków
Milicz*

Moje wspomnienia

Cz. III –Deryłozy i Chorostków (1943–1944)

Przyszedł rok 1943. Deryłozy. Wczesna wiosna... Pamiętam jak przez mgłę. Zjawił się u nas obcy młody mężczyzna i zamieszkał u nas. Jak się później dowiedziałem, nazywał się Karol Mikulski – Polak z Myszkowiec. Ukrywał się u moich Rodziców do maja 1944 roku, czyli do chwili powołania Polaków do Wojska Polskiego. Przeżył wojnę, po wojnie pozostał w wojsku jako żołnierz zawodowy. Widziałem go w latach 60. u moich Rodziców w Żmigrodzie. Był w stopniu kapitana.

Na wojnę poszedł razem z moim Ojcem 15 maja 1944 roku. Karol – wówczas 19-letni Polak, uciekinier z transportu do Niemiec na roboty – ukrywał się u moich Rodziców w Deryłozach, był może nawet w roku 1942, bo Ojciec często wspominał, że Karol Mikulski ukrywał się u nas prawie przez dwa lata.

W jednym ze swoich pamiętników mój Ojciec tak zapisał: „W Deryłozach w tym czasie przechowywało się dwóch mężczyzn, jeden uciekł z transportu do Niemiec na roboty, a drugi, co był ska-

zany na śmierć...”. Kim był ten drugi, do dziś nie udało się ustalić nazwiska, a szkoda, bo w Celejowie też się ukrywał Polak o nazwisku Karol Różyło, rocznik 1924, który też uciekł z transportu do Niemiec na roboty. No cóż, zbyt późno zacząłem się tym zajmować.

A oto kolejny fragment mego „wojennego” życiorysu z Deryłoz z roku 1943, a może to był okres z lat 1942–1944, który sobie zapamiętałem, a mianowicie: Zofia i Michał Strobłowie rozpoczynają budowę swego nowego domu mieszkalnego w 1943, a może w 1942, bo Karol Mikulski był już u nas. Żona Michała Strobla to kuzynka mego Ojca, z domu Woronczak, córka Marii i Eliasza, rodzona siostrzenica Mariana Józków z Deryłoz. Michał Strobel po powrocie z wojska w 1936 roku został powołany przez mego Ojca na komendanta Strzelców w Celejowie i był nim do 1939 roku. Strobłowie ślub brali 8 sierpnia 1939 roku, a potem mieszkali do 1943 roku w tzw. „starym domu Marianka”. Zapamiętałem, jak Karol Mikulski pewnego razu zapytał mego Ojca: „Czy mogęjechać do Michała naszymi końmi mieszać glinę...”, Ojciec wyraził zgodę, mówiąc: „...tylko uważaj na źrebaka, aby nie wchodził do gliny...”. Stąd wniosek, że był to rok 1942 lub 1943, bo tego źrebaka Mama sprzedała już w Chorostkowie po drugim spaleniu Deryłoz, ale jeszcze nie chodził w zaprzęgu.

Było jeszcze kilka takich momentów, które zapamiętałem, tylko trudno jest mi ulokować je w odpowiednim czasie, ale musiało to być najpóźniej w roku 1943.

Zapamiętałem – i to bardzo dokładnie – usytuowanie mojej ojcowizny w Deryłozach, a mianowicie budynku mieszkalnego i zabudowań gospodarczych. Po przeciwnej stronie drogi były zabudowania Smalów – rodziny mieszanej, proukraińskiej. Żona Andrzeja Smala była Polką (z domu Bobiak), rodem z Howiłowa Wielkiego koło Chorostkowa. Córki były Polkami. Jedna z nich – Zofia Smal, brała ślub z Pawłem Podolskim w kościele rzymskokatolickim w Horodnicy w latach 30. Ojcem Pawła był Matwiej (Maciej) Podolski – Ukrainiec polskiego pochodzenia. Do Deryłoz przeprowadził się z Chorostkowa. Podolscy mieli jeszcze córkę i

dwóch synów: starszego Aleksandra, ożenionego w Celejowie, i Eliasza, mieszkającego w Chorostkowie.

Przy studni Andrzeja Smala, która usytuowana była przy drodze, po lewej stronie wjazdu na podwórze, jeszcze za Niemców (mógł to być rok 1943), Michał Czarny – Ukrainiec z Celejowa, zamordował pobratymca o nazwisku Stefan Hawryszczak. Mówiono na niego Pańczyszyn. Jego rodzice byli pięknie pobudowani między Deryłozami a Horodnicą, ale bliżej Horodnicy. Stało się to podczas ukraińskich świąt Bożego Narodzenia roku 1942 lub 1943, ponieważ podobno wcześniej biesiadowano u Smalów.

Obok zabudowań moich Rodziców od strony północno-wschodniej było skrzyżowanie dróg. Jedna z zachodu, od strony Chorostkowa, przez Chłopówkę, Uwisłę i Deryłozy w kierunku Ludwipola i Horodnicy, a druga od południa z Celejowa, w kierunku północnym do Soroki. Przez drogę, od strony północnej był następny sąsiad, Jan i Bronisława Podhorodeccy, a raczej wdowa Bronisława z dwoma synami, Stanisławem i Władysławem, druga żona Karola Strobla, wraz z pasierbem Michałem Stroblem. Obie te rodziny do Deryłoz przybyły z Chłopówki.

Dalej na północ, około 500 metrów przy drodze do Soroki, ale po stronie wschodniej, mieszkali mego Ojca stryjeczni – Anna z domu Pawziuk i Marian Józków. Zofia i Michał Stroblowie pobudowali się w kierunku południowo-wschodnim, przy samym łuku drogi do Celejowa, po tej samej stronie, co zabudowania Andrzeja Smala, ale od Smalów około 200 metrów.

Nie wiem, gdzie spędziliśmy święta Bożego Narodzenia 1943 roku. Być może już w Chorostkowie, natomiast zapamiętałem, że było nam bardzo smutno, że św. Mikołaj nas ominął, bo mówiono, że przychodzi on tylko do grzecznych dzieci, stąd wniossek, że byliśmy niegrzeczni, a może dlatego, że byliśmy Polakami. Dobrze sobie zapamiętałem, tylko że nie wiedziałem dlaczego moi Rodzice żyli w ciągłym strachu, Mama ciągle płakała. Prawie każdej nocy do naszego domu w Deryłozach ktoś się dobijał. Słyszałem, że mówiono coś o Ukraińcach, o banderowcach, ale nic z tego nie rozumiałem. Rodzice przerażeni tym, co się wokół nas działo prawie

każdej nocy, bo w Celejowie, ok. 2 km na południe od Deryłoz, była silna i dobrze zorganizowana stacja banderowców. Mieli nawet schrony.

A oto niektórzy z nich: Iwan Bak – to on po 17 września 1939 roku przyprowadził do moich Rodziców, a następnie do Michała Strobla, czerwonoarmistów z nakazem oddania broni strzeleckiej, ale ta broń była u Jana Różyło w Celejowie. Przeszukali i poszli.

Kolejni banderowcy to: Michał Ozimek, Michał Stelmach i Stach Byznyk, który brał udział w mordowaniu rodziny Stroblów i Mikulskich w kwietniu 1944 roku.

Po wojnie ów Stach Byznyk ukrywał się w Krakowie pod nazwiskiem Grocholski w szeregach Milicji Obywatelskiej. Rozpoznała go córka Stroblów – Bogusia, której udało się zbiec do Czortkowa, gdzie znalazła schronienie u zakonnicy ze Zgromadzenia Sióstr św. Józefa lub ze Zgromadzenia Sióstr Szarytek i z nimi wyjechała do Krakowa. Bogusia opowiadała memu Ojcu, że po zamieszkaniu w Dłużewie (Czernicy) koło Jeleniej Góry u swego stryja, Michała Strobla z Deryłoz, najpierw rozpoznała w tramwaju jego matkę, która na jej zawołanie uciekła, a był to sygnał, że i on jest w Krakowie. Pewnej niedzieli, będąc z koleżankami na spacerze, rozpoznała mordercę swoich rodziców i rodzeństwa, ale tym razem była ostrożniejsza. Nie dała się rozpoznać. Zgłosiła się na komisariat Milicji Obywatelskiej, po czym zdjęto go ze służby i aresztowano. Początkowo wypierał się. Został skazany na karę śmierci, ale przez Prezydenta RP Bolesława Bieruta ułaskawiony, zaś wyrok zamieniono na dożywocie. Podobnie w 1936 roku Prezydent II RP Ignacy Mościcki ułaskawił Stepana Banderę za zabójstwo Bolesława Pierackiego w 1934 roku.

Podczas mordowania Stroblów i Mikulskich, którzy mieszkali u Stroblów, Bogusia Strobel, wówczas 14–16-letnia dziewczyna, uciekła. Tym samym stała się jedynym naocznym świadkiem tego strasznego mordu. Ale ile takich zbrodni zostało zapomnianych? Dlatego postanowiłem spisać to, co wiem na ten temat.

Z uwagi na to, że w Celejowie mieszkały dwie rodziny o nazwisku Różyło i obie w tym czasie przeprowadziły się z Myszko-
wiec do Celejowa, wyjaśniam: ta broń strzelecka zmagazynowana
była u Jana Różyło z Celejowa, ojca Antoniego, Karola i Michała,
po wojnie zamieszkałego we Wierzbowej (gm. Gromadka, pow.
Bolesławiec).

Z obawy o nasze życie Rodzice na przełomie 1943 i 1944
roku pozostawili swój dobytek pod opieką wspomnianego już Karo-
la Mikulskiego i uciekli do Chorostkowa – miasteczka, w którym
się urodzili i wychowali. W tym czasie liczyło ono już około 7000
mieszkańców, leżało 8 km na zachód od Deryłoz.

Rodzice zabrali ze sobą jedynie konie zaprzężone do sań i
najbardziej niezbędne rzeczy osobiste.

W Chorostkowie zamieszkaliśmy na Ojca ojcowiznie, czyli
u stryjostwa Anastazji i Stanisława Józków. W Chorostkowie prze-
bywaliśmy do wyjazdu Niemców, a było to 22 marca 1944 roku. W
kilka dni po powrocie z Chorostkowa zostaliśmy spaleni przez ban-
derowców, a było to w marcu 1944 roku, czyli jeszcze za Niemców,
natomiast Stroblów i Mikulskich banderowcy zamordowali już za
Ruskich, w kwietniu 1944 roku.

Mój Ojciec opisuje jedno, dość ważne wydarzenie z lutego
1943 roku. Pewnej nocy ktoś zapukał do naszego okna i zawołał
Ojca po imieniu: „Franiu, ty śpisz? To ja Moszko Faden (Paden).
Żyd, znam go, on ze swoim 18-letnim synem... (...) Franiu, ja chcę
u ciebie się przespać, ja idę od Podolskiego”. Matwój Podolski to
Ukrainiec z Chorostkowa, ówczesny mieszkaniec Deryłoz, u którego
przechowywał się przez parę miesięcy Żyd Moszko Paden, a od
Podolskiego przyszedł do moich rodziców, uciekając przed obławą.
I tak dalej mówił ów Żyd do mego Ojca, a był to znajomy Ojca
jeszcze z Chorostkowa: „Franiu, nie odpędzaj mnie. Ja biedny, już
nic nie mam na majątku, no tylko ten syn, a wszystko już nie ży-
je...”. Podobno był to bardzo bogaty Żyd z Chorostkowa. Być może
wielu takich, jak mój Ojciec, przed wojną furmaniło u niego. Ro-
dzice wpuścili ich do mieszkania. Nic nie wiedzieli o obławie na
nich. Podali ciepłą kolację i Ojciec zaprowadził ich na strych nad

chlewnią, bo tam było siano, w którym można się było ukryć i doczekać poranka. Cytuję dalej: „Chowamy się, ja Żyda chowam na strych, na siano, tam będzie im ciepło i mówię mu, tam jest drabina, wyliziesz po drabinie na strych, a drabinę pociągnij za sobą. I tak się stało, ja wróciłem do chaty”. Po jakimś czasie psy zaczęły ujadać, i to coraz mocniej, od strony północnej. Rodzice przerażeni. Ojciec ostrożnie odchylił okiennicę i oto co zauważył na swoim podwórzu i tak zapisał: „A może pół godziny znów jacyś przychodzą, przyszło ich trzech koło okna, a dwóch stoi przy bramie niby na warcie i pytają czy mam wódki i słoninę. Mówię słoniny nie ma, a wódki ze dwa kieliszki. A Judi w u ciebie nie ma, przeszukamy. Ja mówię, ja wieczorem o 6 godzinie drzwi zamykam, a co się na dworze dzieje nic nie wiem. Za dom odpowiadam i nic więcej. Ale to nie było tak łatwo jak ja piszę. Zaczęli szukać wprzód koło świń. Nikogo nie ma. Później między kury, kaczki i gęsi. Kaczki narobiły wrzasku, kury leciały im w oczy na oślep choć noc. Nie ma. Zostawili i poszli dalej do stajni, do bydła, nie ma nic. A nic u mnie nie zamknięte na klucz, poszli do stodoły, też drzwi otwarte, patrzę przez okno, ze stodoły gęsiego wychodzą i u mnie w tej chwili nic nie znaleźli. Przez ulicę poszli do sąsiada, do Ukraińca i znów pytają za Żydami i też mówi, że nie ma, bo i nie ma, bo oni są, ale u mnie na strychu. Krzyczą na Ukraińca, a Ukrainiec się do nich postawił ze złością, oni wtenczas kolbą po drzwiach, zamek odskoczył, drzwi się otwały, nie ma. Poszli do drugiego sąsiada (chyba Podhorodeccy), a później do Mariana, do mego kuzyna, psy zaczęły ujadać, zrozumiałem, że szukają. (...) A wtenczas przychodzę do Moszka i mówię słyszałeś. Słyszałem, mówi Moszko i zrozumiał, że i u mnie też jemu nie miejsce. Zleźli ze strychu i mówią: ty byś nas schował, ale ty sam niebezpieczny. I z tym, co im żona dała na drogę, trochę żywności, poszli w nieznanie...” Na szczęście padał gęsty śnieg i zakrył ślady na gnoju wchodzących na strych Żydów. Tak to jeden z wielu cudów z Deryłoz, że nikt nie zginął.

Na podstawie tych cytatów można wnioskować, że każda noc w Deryłozach była dla nas koszmarem. Naszą drogą przez mękę. To jest odpowiedź, dlaczego uciekliśmy do Chorostkowa. A tak

to wyjaśnia mój Ojciec: „Z obawy przed banderowcami na kilka tygodni wyjechaliśmy do Chorostkowa, jeszcze za okupacji niemieckiej i zamieszkaliśmy u mego młodszego brata Stanisława”. Przejął on po moim Ojcu ojcowiznę w Chorostkowie. Bardzo dokładnie pamiętam nasz pobyt tam, choć nie pamiętam, jak długo byliśmy. Zapamiętałem, jak kucharz niemiecki przynosił nam jedzenie z kuchni polowej, która stała na podwórzu stryjostwa Anastazji i Stanisława Józków. Dziadkowie po Ojcu już nie żyli. Babka zmarła w 1942 roku, Dziadek w 1943, w Chorostkowie. Oprócz kuchni polowej na podwórzu stryjostwa stał bardzo duży samochód ciężarowy, który był zepsuty, a Niemcy uciekając, zostawili go, tym samym zablokowali wjazd do podwórza stryjostwa. Wyjeżdżając z Chorostkowa, trzeba było nasze sanie przenieść na stronę stryjostwa Heleny i Pawła i ich bramą wyjechać.



Chorostków – dworzec kolejowy

W Chorostkowie mieszkaliśmy do chwili wycofania się Niemców, a raczej wyjechaliśmy w trakcie ich wycofywania się, bo Deryłozy zostały spalone jeszcze za Niemców, czyli przed 22 marca

1944 roku, chociaż krążą dwie daty wkroczenia wojsk radzieckich do Chorostkowa – 22 marca i 27 marca 1944 roku. Cdn.

Bruno Brożyniak

Wrocław

Dzieciaki na wojnie (wspomnienia czortkowianina)

Cz. II

Rozdział II

Durnowate powstanie

W te wrześnieowe dni płataliśmy się z Bogusiem, dwuletnim braciszkiem, po domu. (Mimoходом warto wspomnieć, iż przez niego dostałem lanie, zanim się urodził. Gdy mama zaczęła pojękiwać z bólu, tata poleciał po akuszerkę. Przyszła silna, rosła kobieta i zaczęła rządzić: „Grzać wodę, przygotować czyste prześcieradła i ręczniki!”. Stanąłem sobie w kąciку i z ciekawością czekałem, kiedy dziecko wyjdzie z brzucha. Akuszerka kazała mi wyjść, ale nie posłuchałem. Wpadł tata, a że był zdenerwowany, więc przywalił mi mocno w tyłek, aż łupnąłem głową w futrynę drzwi). W wojenny czas dorosli domownicy, w tym pani Semikowa, żona kapitana KOP-u, dowódcy taty, z coraz większym napięciem nasłuchiwali wieści z frontu polsko-niemieckiego. Już było wiadomo, że Francja i Anglia nam nie pomogły, przejmujące były radiowe komunikaty o kolejnych nalotach hitlerowskich samolotów na Warszawę.

Ktoregoś dnia zjawił się u nas sowiecki oficer. Mama wpadła w popłoch, przestraszyła się, że zechcą nas wysiedlać. Oficer bacznie rozejrzał się po domu i spytał, a raczej stwierdził w formie rozkazu:

- Chaziajka, mienia nużna kwartira.
- Aha, chodzi o kwaterę? – spytała mama.
- Nu, da, smotriu, szto u was bolszoj dom.
- Dom, jak dom. A pokój się dla pana znajdzie – odparła potulnie mama.
- Pany u was byli, my ich prognali!

– To jak do pa... do was mówić? – spytała speszona mama.

– Ja towariszcz... poniatno?

Oficer otrzymał do dyspozycji pokój gościnny z wygodnym, odrębnym wejściem od ulicy. Gdy poszedł z powrotem do koszar, mama nagle krzyknęła:

– Szybko, portret!

– O co chodzi? – spytałem, a mój mały braciszek Boguś, wszędobylski dwulatek, zaczął powtarzać jak katarynka:

– Chodzi, chodzi, szybko chodzi... – i nagle wywalił się jak długi.

Zdenerwowana mama chwyciła za kołnierz malucha, pobięła do sypialni i szybko zdjęła haftowany portret. Marszałek Piłsudski wylądował głęboko w piwnicy. A babcia z uznaniem stwierdziła:

– Jakby ten bolszewik to zobaczył, nu to Sybir pewny.

Nasz bolszewik początkowo był bardzo podejrzliwy i nieufny. Po domu chodził cały czas z przypasowanym rewolwerem – naganem. Gdy mama chciała go poczęstować herbatą, mlekiem, ciastem, w pierwszych dniach stale powtarzał ten sam rytuał:

– Chazajka, wy pierwaja poprobujcie!

– Jedzenie u nas smaczne, mliko świeże, prosto od krowy! – zagadywała babcia. Za którymś razem dał sobie spokój z tym próbowaniem i wyjaśnił, iż bał się otrucia i takie miał służbowe instrukcje postępowania.

A Czortków zmieniał się z dnia na dzień. Przed koszarami stali przeważnie skośnoocy, sowieccy wartownicy. Pojawiły się szyldy z ruskimi literami – bukwami, których nie rozumieliśmy. W sklepach nie chcieli przyjmować polskich pieniędzy, bo już były ruble. Ruszyła w końcu szkoła, niby ta sama, ale jakby obca. Nasza śliczna nauczycielka któregoś dnia zaczęła lekcję tak jakoś nieswojo, a w końcu rozbeczała się jak małe dziecko i przez łzy wyszeptowała:

– Mego narzeczonego Ruscy gdzieś wywieźli. Był chorążym, wrócił z frontu, bo jego oddział został zupełnie rozbity. Ktoś chyba doniósł, bo przyszli w nocy i go zabrali. Boże, co ja teraz mam robić? Co ja mogę zrobić? Dzieciaki, tylko nikomu nic nie mówcie, proszę

was!... – i szlochała do końca smętnej lekcji. Pochlipywaliśmy razem z nią i taka to była nauka. Jeszcze nie wiedziałem, że przejdę przedziwną edukację szkolną. Nie ruszając się z rodzinnego miasta, będąc chodząc do szkół w kilku państwach: najkrócej – niecałe trzy tygodnie – w polskim, następnie sowieckim, potem tworze hitlerowsko-ukraińskim i znowu sowieckim.

Wreszcie zjawił się nasz tata. Przyszedł polami od strony sadu; ubrany w jakieś cywilne łachy, chudy, przygaszony. Przeprowadził ze sobą kolegę, Henia, plutonowego z naszego wojska. Przywitali się, wykapali, najedli i poszli spać. Zaglądaliśmy z bratem do ich pokoju, ale chrapali w najlepsze, a mnie ciekawiło, jak było na froncie. Gdy pod wieczór zjawił się ruski oficer, mama zagadała go, że tata był na wsi u swoich starych rodziców i właśnie wrócił z kuzynem. Dla polepszenia nastroju usmażyła oficerowi kopiasty talerz blinów, których recepturę wcześniej pokazał i które bardzo lubił. Po cichu pewnie tęsknił za swoim domem, który zostawił gdzieś w Rosji.

Zupełnie nie poznawałem taty. Dawniej taki wesoły, syjący zarcikami, rozśpiewany – znał wiele polskich piosenek, arie z popularnych operetek, nieraz fragmenty arii obracał w żart: „Usta miłą, dusza ziewa, idziemy spać!” – a teraz całymi dniami grał z Heniem w szachy lub siedział tępo wpatrzony nie wiadomo gdzie. Minęło wiele dni, gdy wreszcie odtajął, zaczął nam opowiadać, jak to było na froncie:

– Walczyliśmy w rejonie Kielc oraz Końskich. Nasi byli bitni, dobrze wyszkoleni. Z działek wykończyliśmy niejednego niemieckiego czołg. Kiedy Niemcy zabili obsługę działek, na ochotnika zgłaszali się następni. W końcu zabrakło nam amunicji. Wtedy przekonaliśmy się, że Niemiaszki są strachliwe. Gdy u nas padł rozkaz: „Bagnet na broń!” i ruszyliśmy do walki wręcz, butni hitlerowcy spieprzali niczym zające.

– I co było dalej? Opowiadaj tata! – prosiliśmy obaj z braciszkiem.

– Dalej były następne niemieckie czołgi, siekły nas ich samoloty. I w końcu ten nóż w plecy!

– Jaki nóż? – spytałem.

– Ten sowiecki. Przecież widzieliście – Sowietci nagle zaatakowali nasz kraj od tyłu. Oni zawarli pakt z Hitlerem i już podzielili Polskę między siebie. Od granicy na Zbruczu mieli do Czortkowa tyle, co rzut kamieniem, szybko tu przyleźli – zgryźliwie zauważył ojciec.

– I co teraz, Janku, będzie? – wtrąciła się babcia.

– Tatuś, czy tu wróci Polska? – spytałem, skołowany wielką polityką.

– Nikt nie wie, co będzie. I to jest najgorsze. Tylko jedno pewne, że jest wojna. A Polski na razie nie ma i tyle.

Mama, nazywana pieśczośliwie mamcią, wysłała mnie do ogrodu po warzywa. Zaskoczył mnie dziwny widok. Na skraju ogrodu stała bryczka, na koźle której podrzemywał żołdat. Na grządce z marchewką leżał gruby oficer, a pod nim kobieta. Oficer raz po raz unosił się i ciężko sapał. Zaciekawiony, podszedłem bliżej. Wojskowy furman otworzył zaspane oczy i półgłosem fuknął na mnie:

– Zdieś nielzia! Malczik, idi skoriej domoj! Nu, idi!

– A dlaczego mam iść? To nasz ogród! – odciąłem się furmanowi.

– A kak chcesz, nu... smotri... – bąknął zrezygnowany.

Postałem chwilę aż mnie to zdudziło i po powrocie do domu, mocno zadziwiony, zacząłem opowiadać, że w naszym ogrodzie oficer pierze jakąś kobietę.

– Jak to pierze? Biję ją? – zdenerwowała się mama.

– No... chyba nie. On się podnosi, jak mama w praniu nad balią – w górę, a potem w dół.

– Ta pani chyba zasłała i on jej robi sztuczne oddychanie! – z poważną miną zawyrokował tata.

– E, tam sztuczne oddychanie robi się od góry, a ten oficer tak jakoś od dołu i strasznie sapał... – upierałem się przy tym, co widziałem. Na to widowisko w ogrodzie wpakował się także mój braciszek, którego najbardziej zadziwiły długie, kolorowe majtałasy, które plątały się między nogami baby pod oficerem.

– Runek, przestań marudzić i bierz się do lekcji, a ty Boguś siedź w chałupie! – zarządziła mama.

Z kolei nasz bolszewik, miłośnik blinów, wkrótce bardzo się nam przydał. Wieczorem siedzieliśmy z mamą i babcią w kuchni, tata znowu poszedł na spotkanie z kolegami, gdy nagle przez sień od strony podwórka wpadł pijany w sztok żołdat. Coś wściekle bełkotał, a w rękę ścisnął granat. Zamarliśmy z przerażenia, mama krzyknęła:

– Oficer! Lećcie po niego!

Na szczęście był w swoim pokoju. Wpadł do kuchni, ścisnął rękę żołdata i wywlókł go na podwórko. Tam wyrwał mu granat, sprawił łomot i pod pistoletem odholował do koszar. Gdy wrócił i rzuciliśmy się do podziękowań, wyjaśnił, iż żołdat zostanie zesłany do karnej kompanii, a to oznacza pójście na pierwszy ogień w razie wojny.

Żyło się nam coraz biedniej. Mama najpierw przegoniła Henia, kolegę z wojska, a potem raz po raz zaczęła dopingować tatę do jakiejś pracy.

– Pracy, pracy, jakiej pracy? – denerwował się ojciec. – Przecież chodzę, pytam. Praca jest teraz głównie dla Rosjan, Ukraińców, a mnie nawet do zamiatania koszar nie wezmą.

Przed ewentualną wywózką na Sybir ostrzegał nas mąż cioci Andzi – wielce pocziwy wujek Niwraak. Przystojny syn Niwraaków należał do najweselszych naszych kuzynów. Przyprawdzał orszak barwnych kolędników, założył się z koleżkami, że skoczy z najwyższej części zamkowego muru. Oczywiście, że skoczył i kontuzjował sobie rękę. Największym jego wyczynem było zabicie z desek dziurawej jak sito łódki, która z bulgotem zatoneła na środku Seretu, natomiast Adaś jakoś szczęśliwie dotarł na brzeg. Ponieważ wujek Niwraak pracował na kolei, zawsze nas zawiadamiał, kiedy przychodziły wagony do transportu zesłańców. Na wszelki wypadek nocowaliśmy wtedy u sąsiadów albo po prostu w polu.

W przeżyciu tych ciężkich czasów pomógł nasz wojskowy lokator. Sowietci zaczęli budować na przedpolach Czortkowa – w pobliżu szosy zaleszczyckiej – duże lotnisko wojskowe. Stąd mieli blisko do Rumunii. Do prac ziemnych potrzebni byli robotnicy. Na prośbę mamy ruski oficer załatwił tacie pracę na lotnisku. Najpierw

tylko z łopatą w rękę, a potem rodzice kupili konia i furmankę, co dawało lepszy dochód. Chociaż tata pochodził ze wsi – Kalwarii Paclawskiej pod Przemyślem – nie umiał zaprzęgać konia ani sprawnie nim powozić. Na początku było z tym sporo cyrku. Przy wyjeździe z podwórka tata przywalił furmanką w bramę, a któregoś dnia przytarł się z czołgiem. Potem tłumaczył się, że koń nerwowo poniósł od grzechotu czołgu.

Najważniejsze, że był stały dochód, że były ruble i było na chleb i do chleba. W porównaniu ze stanem sprzed wojny zaopatrzenie sklepów było jednak marne. Któregoś dnia przyniosłem ze szkoły nowe powiedzonko: „Stalin, dawaj myła, bo woszy dostały kryła”. Na te słowa zdenerwowana mama puknęła mnie w ucho:

– Cicho bądź, nie powtarzaj tego, bo jeszcze nas zamkną i wywiozą. Ty nawet nie wiesz, co gadasz!

– Jak to nie wiem? „Stalin, dawaj mydła, bo woszy dostały skrzydeł” – odparłem.

– Nie holukaj tak na niego, on małeńki, głupeńki! – ujęła się za mną babcia. – A mydło sobie zrobimy, ot co!

Następnego dnia babcia zrobiła z jakiegoś łożu i popiołu szare, toporne mydło.

Gdy jako tako ustatkowało się nasze codzienne życie, nagle w środku ostrej, podolskiej zimy, w 1940 roku wybuchło w Czortkowie powstanie antysowieckie. Główni jego uczestnicy – uczniowie gimnazjum i harcerze ponoć wybrali datę 21 stycznia dla uczczenia rocznicy Powstania Styczniowego. Podobno byli też jacyś dorośli emisariusze ze Lwowa i Tarnopola z organizacji „Orzeł Biały”. Zdenerwowana mama zakazała nam, dzieciakom, wychylać nos z domu. Tata gdzieś poszedł do kolegów, chyba schował się przed NKWD. Z rozmów sąsiadów, znajomych, dowiedzieliśmy się, że powstańcy opanowali stację kolejową i szpital. Powstanie trwało jeden dzień. Już w nocy zaczęły się aresztowania. Drżeliśmy, czy nagle do naszego domu nie wpadnie NKWD. Znajomy Ukrainiec, który miał krewniaka w milicji, przyniósł nam więcej tragicznych szczegółów. Młodzi powstańcy mieli na uzbrojeniu cztery pistolety, szablę i bagnet. Sowietci aresztowali stu dwudziestu ośmiu

młodych Polaków, z których dwudziestu trzech potem rozstrzelano, a kilkudziesięciu skazano na długoletnie więzienie. Gdy tata chyłkiem, mocno zdenerwowany, wślizgnął się do domu, zaczęliśmy pytać o ten atak na Sowieców. Tata wiedział o szykowaniu powstania, ale na szczęście nie wziął w nim udziału.

– I po co to było? – spytała mamcia.

– No, był plan, żeby pociąg z Polakami przebił się do Rumunii.

– I co, Sowieci po drodze by klaskali? – zauważyła zgryźliwie mama. – Ludzi szkoda. Kto to wszystko wymyślił i po co? – dodała.

– Durne, całkiem durnowate było to powstanie! – podsumowała dyskusję babcia.



Czortków – dworzec kolejowy, jedno z miejsc walk powstańców

Po tym tragicznym i zupełnie bezrozumnym wydarzeniu w Czortkowie życie jako tako się ustabilizowało. Gdy już przywykliśmy do stalinowskiego raju, jego strażnicy – żołdaci i milicjanci – nagle zniknęli z miasta. Po cichu zniknął też nasz miłośnik blinów. Po Sowieciach zostało więzienie pełne rozstrzelanych ludzi. I to potem się powtarzało przy kolejnej zmianie państwa. A do Czortkowa w 1941 roku bez walki weszli Niemcy. Byli weseli, tacy na luzie,

zagadywali do dzieci. Zaciekawiał mnie napis na klamrach ich pasów wojskowych: „Gott mit uns”.

Ponieważ byłem znanym dzieckiem-pytajką, spytałem syna ciotki Maryñci, kuzyna Romka Jakubowskiego, który znał niemiecki, co to właściwie znaczy?

– To znaczy: „Bóg jest z nami”.

Mocno mnie zadziwiło, że Bóg ma być z tymi, którzy napadają na cudzy kraj. Cdn.

Jerzy Stopa
Warszawa

Mój Ojciec Józef

Część III

Od redakcji: Poprzednie części wspomnień publikowane były w numerach 146 i 147 „Głosów” w 2018 roku.

12 pał rozpoczął mobilizację o godzinie dwudziestej 27 sierpnia w Złoczowie i wsi Jasionowce. Mobilizacja przebiegła bez większych zakłóceń i w terminie. Z chwilą otrzymania rozkazu o mobilizacji dotychczasowy dowódca 12 pał płk Rawski zgodnie z przydziałem mobilizacyjnym objął stanowisko dowódcy artylerii dywizji AD 12 DP i odjechał do Tarnopola. Jego miejsce zajął zastępca ppłk Kuberski.

Mobilizacja 12 dac (dyonu artylerii ciężkiej) miała miejsce we Lwowie. Po zakończeniu pierwszego nalotu na Lwów dyon opuścił miasto i udał się do lasu Białohorszcza.

Zgodnie z planem mobilizacyjnym 12 DP wchodziła w skład odwodu Naczelnego Wodza zwanego Armią Prusy, której dowódcą był gen. dyw. Stefan Dąb-Biernacki. Armia miała koncentrować się w dwóch ugrupowaniach: tzw. Północnym Zgrupowaniu i Południowym pod dowództwem gen. bryg. Skwarczyńskiego. W skład Zgrupowania Południowego między innymi wchodziła 12 DP.



Odznaka pułkowa 12 pal



Dowódca 12 pal płk T. Rawski

1 września dywizja oczekiwała na podstawienie wagonów, prowadziła szkolenie doskonalące i odbyła się przysięga 1 dyonu artylerii zakończona defiladą w Tarnopolu. Dowódca dywizji gen. bryg. Gustaw Paszkiewicz otrzymał rozkaz kierujący dywizję do rejonu Końskie – Kamienna. 2 września rozpoczęły się transporty dywizji na front. Jako pierwsza wyruszyła 12 baplot (bateria artylerii plot) o godzinie drugiej. Następny transport z Tarnopola z dowództwem 1 dyonu 12 pal, 1 baterią i plutonem amunicyjnym. Duże zatłoczenie oraz liczne uszkodzenia linii kolejowych opóźniały transporty. W tym dniu rozpoczął się wyjazd ze Złoczowa 52 ppsk. 3 września natarcie armii niemieckiej zagroziło Południowemu Zgrupowaniu Armii Prusy. Niemiecka 2 DLek. rozbiła w rejonie Żłotego Potoku 7 DP. 3 niemiecka DLek. po przekroczeniu Pilicy kierowała się na Kamiensk. Sytuacja była bardzo groźna, gdyż Południowe Zgrupowanie Armii Prusy było dopiero w pierwszej fazie koncentracji. W tym dniu uruchomiono następne transporty dla 12 DP, na 42 transporty uruchomiono 22. W drugim transporcie 54 ppsk przed świtem 3 września odjechało dowództwo pułku i inne oddziały, o godzinie 5.30 wyruszył 2 batalion ppsk i w kolejnym pierwszy baon. Rano ze stacji w Brzeżanach rozpoczął się odjazd 51 ppsk, we Lwowie o 16.00 rozpoczął się załadunek 12 dac.

W nocy z 3 na 4 września z dywizji wyładowały się jedynie: dowództwo, 1 baon 54 ppsk i 1 dyon 12 pal.

Jako pierwszy przybył transport wiozący dowództwo 12 DP, który około 2.00 godziny 4 września dotarł do stacji Skarżysko-Kamienna. Trasa przejazdu wiodła (tak jak i dla 52, i 54 ppsk) przez Tarnopol – Złoczów – Lwów – Przemyśl – Przeworsk – Skarżysko-Kamienna. 51 ppsk miał wyznaczoną trasę Brzeżany – Lwów i dalej jak wyżej.

5 września niemiecki XV Klek. dwoma klinami zaatakował Południowe Zgrupowanie Armii Prusy, które dopiero rozpoczęło koncentrację. Przybywały następne transporty dywizji. W kolejnych dniach, mimo zacieklej obrony, zgrupowanie gen. Skwarczyńskiego zostało rozbite przez przeważające siły niemieckie. Jednostki rozformowano i polecono indywidualnie przedzierać się przez Wisłę. Mosty były tylko w Warszawie, Puławach i w Annopolu.

Jeżdżąc przez szereg lat autokarem na wycieczkę do Tarnopola i okolic, nikt nie uświadamiał sobie, że nasza trasa Kraków – Tarnów – Rzeszów – Przemyśl – Lwów – Tarnopol już od Przemyśla biegnie obok linii kolejowej Przemyśl – Tarnopol, którą w pierwszych dniach września 1939 roku nasza tarnopolska dywizja wyjeżdżała na front.

Piszę obszerniej o pierwszych dniach mobilizacji, gdyż chciałem zobrazować ogrom prac, jakie należało wykonać, by zbudować kunsztowny plan mobilizacyjny. W jego budowie uczestniczyli nie tylko oficerowie jednostek wojskowych, ale również niektórzy pracownicy jednostek administracji państwowej, a więc urzędów wojewódzkich i powiatowych, dyrekcji PKP, komunikacji i łączności, Policji Państwowej itd. Wszystkie przedsięwzięcia musiały być w szczegółach przewidziane i uzgodnione z zainteresowanymi czy współdziałającymi. W tych pracach zaangażowany był mój Ojciec już od 1927 roku, a być może i wcześniej, w Baranowiczach. Regularnie brał udział w grach wojennych i ćwiczeniach wojskowych, był częstym gościem gen. dyw. Mariana Langiewicza – dowódcy DOK VI we Lwowie, bywał też w Warszawie. Stąd może jego znajomość opery.

Każde ćwiczenie wojskowe na szczeblu od związku taktycznego wzwyż zawierało elementy planu mobilizacyjnego. Wniośki stąd płynące miały wpływ na kształt planu, weryfikowały lub negocjowały jego elementy. Z tego względu wszelkie informacje o ćwiczeniach, a przede wszystkim mapy, były przedmiotem pożądania obcych wywiadów, a równocześnie pilnie strzeżone, zaś po wykorzystaniu niszczone pod szczególnym nadzorem. Pracownicy cywilni przygotowujący plan musieli być absolutnie zaufani i znajdowali się pod stałym nadzorem służb kontrwywiadowczych. Z praktyki wiem, że dotyczyło to również oficerów mających dostęp do prac mobilizacyjnych. Plany na wypadek mobilizacji znajdowały się w każdej instytucji, która miała tzw. kancelarie tajne. W nich przechowywane były plany w kasach pancernych w zalakowanych kopertach z hasłem otwarcia. W niej znajdowały się zadania do wykonania, a nieraz następną koperta zalakowana z innym hasłem.

Zapamiętałem satysfakcję Ojca z faktu, że mobilizacja w województwie tarnopolskim przebiegła bez zarzutu.

Przed wojną Ojciec kupił sobie małoobrazkowy aparat fotograficzny bodajże Retinę II, cieszył się, że stać go na taki luksus. Nie przypuszczał, że w następnych latach będzie on jedynym źródłem dochodu.

Wróciliśmy z kolonii letnich w Zaleszczykach 21 sierpnia 1939 roku. Wkrótce wybuchła wojna. Wykopaliśmy na podwórku, zgodnie z nakazem władz, rowy przeciwodławkowe, które już przy pierwszym bombardowaniu Tarnopola okazały się skuteczną ochroną. Ja wstąpiłem do Straży Obywatelskiej, w której służył Czesław Blicharski. 17 września 1939 roku po południu przed naszym domem pojawiły się wojska sowieckie.

Późną jesienią w naszym domku wojsko wykwaterowało nas z jednego pokoju, który miał oddzielne wejście od frontu. Pokój zamieniono na wartownię, w niej wartownicy ochraniali sąsiadujące z naszym podwórkiem boisko sportowe. Na boisko wojsko zaczęło ściągać wszelkie pojazdy pozostawione przez zmierzających w kierunku Zaleszczyk uciekinierów i wojska polskie. O ile pamiętam,

zaden z tych samochodów, którym najczęściej zabrakło tylko paliwa, nie wyjechał o własnych siłach.

Pod koniec września zjawił się wieczorem w naszym domu kolejarz. Twarzy nie pamiętam, był to wysoki mężczyzna w rogatywce kolejarza z torbą służbową, do której od czoła przymocowana była karbidówka. Poinformował Ojca, że na stacji kolejowej Berezowica Wielka (5 km na południe od Tarnopola) w wagonach znajdują się jeńcy – polscy oficerowie, wśród nich mój wujek mjr Jerzy Bereśniewicz, który prosi o pastę do butów i szczotkę (sic!). Błyskawicznie rodzice w ciągu jednej nocy przygotowali zamiast plecaka, którego nie mieliśmy, odpowiedni worek z szelkami. Włożyli do niego bieliznę, jedzenie i tę nieszczęsną szczotkę z pastą do butów. Rano Ojciec udał się do Berezowicy Wielkiej, tam spotkał się z wujkiem i namawiał go, by przebrał się w cywilne ubranie, które Ojciec miał ze sobą, a mundur niech wrzuci do ubikacji. Wujek kategorycznie powiedział, że munduru do ubikacji nie wrzuci. Nic nie pomogło, Ojciec wrócił do domu. Po kilku dniach przed naszym domem przy ul. Tarnowskiego przemaszerowały kolumny piesze jeńców eskortowane przez żołnierzy sowieckich. Widok był bardzo smutny. Oficerowie bez broni, bez pasów, powoli maszerowali luźnym krokiem w stronę Podwołoczysk. Za granicą na Zbruczu w Wołoczyskach był punkt zdawczo-odbiorczy, w którym eskorta wojsk operacyjnych przekazywała jeńców w ręce NKWD. Stamtąd przewieziono ich do Katynia i tam już zostali na wieki.

Zima 1940 roku była niezwykle ostra. Pamiętam, że wracałem do domu wieczorem i był mróz -42 stopnie. W tym czasie Ojciec dowiedział się, sobie znaną drogą, że znajomemu na Nowym Świecie grozi wywiezienie na Sybir, więc poszedł uprzedzić go. Powrót okazał się fatalny. Nowy Świat to przedmieście w polu. Przy niskiej temperaturze i zawiei Ojciec postanowił skrócić sobie drogę i poszedł na skrót przez pola. Wówczas to skręcił sobie nogę. Dalszy marsz odbywał się na czworakach, ponadto zgubił rękawiczkę z prawej ręki. Po dobrnięciu do gościńca przy przejeździe stanął i ledwo trzymał się żelaznego słupa. Wówczas odmroził sobie prawą rękę. Zatrzymany przejeżdżający samochód odwiózł go

do miasta i stamtąd dotarł do domu. Odmrożenie okazało się trzeciego stopnia z gangreną małego palca i ostatniego członu czwartego palca. Cierpiał bardzo. Do końca życia palców nie zamknął w dłoni bez pomocy lewej ręki.

Wartownicy czasem przychodzili do nas na rozmowy, szczególnie gdy okazało się, że matka płynnie mówi po rosyjsku (skończyła gimnazjum w Stołpcach podczas carskiej okupacji). Zapamiętaliśmy z siostrą wiersz Niekrasowa, który nam matka czasem recytowała.

Ojciec rosyjskiego nie znał, kaleczył język niemiłosiernie. W czasie tych odwiedzin wartownicy zachowywali się różnie. Gdy któryś z nich był sam, mówił swobodniej, zmieniając od razu temat rozmowy, gdy pojawiał się drugi. Spośród nich stale przychodził jeden o nazwisku Białoskórski, który molestował Ojca, by sprzedał mu zegarek, kieszonkowy budzik. Obiecywał deski, samochody, złote góry – ale Ojciec też lubił zegarki. Miał już wcześniej z nim kłopot, gdy w niedzielę w kościele budzik zadzwonił w czasie Podniesienia. Cdn.

Bogusława Duszkiewicz

Kazimierz Orlicz

Bydgoszcz

Wspomnienie o deportacji z Podola (Ze Strusowa pow. Trembowla do Kazachstanu)

Cz. I

*Ku pamięci dobrych Kazachów, Rosjan, Niemców nadwołżańskich
i innych narodowości, które dzieliły z nami trudy zesłania*

Bogusława Duszkiewicz: *W jakim porządku będziesz mógł najłatwiej opowiedzieć swe dzieje – chronologicznym, tj. od deportacji w 1940 do powrotu do Polski w 1946, czy też najpierw wydobędziemy*

z Twej pamięci to, co jest najważniejsze z jakiegoś punktu widzenia, np. przekazu dla potomnych.

Kazimierz Orlicz: Spróbuję wydobyć z wątlejącej pamięci 90-latka wydarzenia i ludzi, którzy w wielorakich konfiguracjach tych wydarzeń uczestniczyli na przestrzeni lat 1940–1946. Granice tego czasu są wyznaczone takimi oto dwiema chwilami, które – jak owe engramy z dialogu Platona Timajos – zapisały się na trwałe w mej pamięci i zachowam je do końca dni moich.

W nocy 13 kwietnia 1940, po godzinie 3.00 – w czasie, gdy zwykli ludzie śpią najgłębszym snem sprawiedliwych, a bandy dokonują włamań – „trojka” NKWD, w szarych szynelach i czapkach ze szpicem na czubku (tzw. budionówkach) oraz naszytymi dużymi czerwonymi gwiazdami, z karabinami „bagnet na broń”, po otwarciu drzwi kolbami, wtargnęła do izby wiejskiego domu, gdzie spaliliśmy i „komandir trojki” odczytał „ukaz” przesiedlenia na terytorium ZSRR. Przez cały czas, od chwili wtargnięcia „trojki”, dwaj „bojcy”, stojący po obu stronach „komandira”, z bagnetami skierowanymi na Dziadka i Mamę, śledzili ich ruchy. Być może „trojka” była ostrzeżona przez kogoś z miejscowych, że jako rodzina policjanta możemy mieć broń, a Dziadek – były żołnierz armii austriackiej, weteran I wojny, na frontach włoskim i rosyjskim (przeżył oblężenie twierdzy w Przemyślu) – umie nią władać .

Babcia (w wieku 60 lat, cierpiąca na astmę), wierna towarzyszka życia Dziadka i posłuszna słowom Stwórcy, że mąż i żona „będą dwoje jednym” („Księga Rodzaju”, 2, 24), gdy dotarło do jej świadomości, że nie zostanie deportowana, padła na kolana przed obrazem Matki Boskiej z Jezusem, prosząc, by ją też zabrano z Dziadkiem, córką i wnukiem. Babcia, w swej desperacji, ubrana w kozuch i chustę, z bochenkiem kilka dni temu upieczonego chleba w torbie i krzyżem (wziętym ze stołu), wystającym zza pazuchy jej kozucha, jako pierwsza zajęła miejsce na furmance czekającej na nas przed domem, bojąc się, że nas zabiorą, a ją zostawią.

Dowódca „trojki” ciągle ponaglał, bo mieli ustalony czas na dowiezenie nas przed świtem furmanką na stację kolejową w odległym Strusowie. Wynik owego „wyścigu z czasem” i całkowitego

braku informacji od dowódcy o tym, co możemy ze sobą zabrać, był taki, że gdy znaleźliśmy się w bydłącym wagonie – niemal tylko w tym, w co zdołaliśmy się ubrać – to współzesłańcy okrzykami „*Ludzie! A gdzie są wasze pierzyny?*” uświadomili nas, że nie zabrawszy ani jednej pierzyny, ani poduszki, w drodze na Sybir zamarniemy na kość, a nasze zwłoki wyrzucą na pobocza torów wilkom na pożarcie, bo taki los spotkał zesłańców w lutym 1940.

Wtedy do akcji przystąpiła moja dzielna Babcia. Staruszka, sapiąc z powodu astmy, trzymając mnie za rękę, odnalazła dowódcę długiego eszelonu i płacząc, uklękła przed nim i słowami: „*Towariszcz komandir*”, błagała go, by pozwolił wrócić do domu po pierzyny, bo jej wnuk zamarnie. Kazała mi też uklęknąć przed nim, co uczyniłem. Dowódca, wysoki rangą oficer NKWD, okazał się dobrym człowiekiem (być może miał syna albo wnuka w moim wieku) i wiedząc, że będą nas wieźli przez Syberię, rozkazał „bojcom” NKWD, by udali się z powrotem z Mamą, tą sama furmanką (już bez owego okrutnika – dowódcy „trojki”) do domu, „po brakujące rzeczy”. Mama, korzystając z rozkazu najwyższego „komandira”, choć nie była świadoma, że przysługiwał nam limit 500 kg bagażu na rodzinę¹, zdołała zabrać trzy pierzyny i trzy poduszki, kilka bochenków chleba i inne rzeczy, które bardzo nam się przydały w okresie ponad sześcioletniego zesłania, na wymianę za żywność. Dzięki Babuni i Mamie (która potrafiła skorzystać z zezwolenia najwyższego „komandira” i zapewne z życzliwości owych „bojców”), zawiązany w jedną z pierzyn, szczęśliwie przebyłem trwającą niemal miesiąc podróż w bydłych wagonach, przez Ural i zimną Zachodnią Syberię, do Nowosybirska, gdzie nasz eszelon zatrzymał się na więcej niż jedną dobę zanim ruszył dalej na południe – do stacji Ajaguz w Kazachstanie, ok. 1000 kilometrów od Nowo-

¹ Zgodnie z instrukcją NKWD, zatwierdzoną przez Radę Komisarzy Ludowych (rząd) ZSRR, deportowanym przysługiwało nie więcej niż 500 kg bagażu – zob. S. Ciesielski. Polacy w Kazachstanie w latach 1940–1946. Wrocław 1996, s. 12–14. W książce M. Dubanowicz (Na mongolskich bezdrożach. Wspomnienie z zesłania 1940–1942. Londyn 1974) jest relacja, że „komandir trojki” przypominał deportowanej rodzinie, że mogą zabrać pół tony bagażu.

sybirska. Nasz wagon był zatłoczony ponad granice pojemności czterech prycz, tam zbudowanych, z otworem wyrąbanym pośrodku podłogi, pełniącym funkcję ubikacji. Dostęp do tego otworu był utrudniony, bo – z braku miejsca na pryczach – na podłodze (obok tego „przepustu”) ulokowano jeszcze jedną rodzinę, która była narażona na srogie niewygody, bowiem gdy nasz eszelon ruszył ze Strusowa, to drzwi wagonu były zawsze zaryglowane od zewnątrz i nie pamiętam, by choć raz pozwolono nam wyjść z wagonu za potrzebą w czasie postojów. Nawet gdy co kilka dni dawano nam „kipiatok” (wrzątek) i coś jak zupa na wywarze z ryb.



Strusów obecnie

W 1946, podczas powrotu z zesłania (tym razem w niezaryglowanych wagonach), tuż po przekroczeniu granicy w Dorohusku ujrzałem na peronie niepojętą dla mnie mnogość bochenków chleba (rozłożonych na wielu stołach), którymi Rodacy witali nas – wygłodzonych zesłańców – w Ojczyźnie. Ja bochenka chleba nie widziałem od czterech lat i byłem tak głodny (wcześniej, na targowisku obok stacji Woroneż, jedyne buty, które miałem z darów – jesz-

cze z czasów Andersa – wymieniłem na trzy szklanki mąki), że chwyciłem dwa bochenki, a jedna z pań stojących przy stole z chlebem, widząc mnie wychudzonego, w lachmanach i bosego, słowami „bierz, synu”, włożyła mi kolejny bochenek pod drugą rękę, z czym biegiem wróciłem do wagonu. Byłem tak szczęśliwy, że jeden bochenek włożyłem pod poduszkę i w nocy, odurzony jego cudownym zapachem, podjadałem kęski, prosząc Opatrzność, bym już nigdy więcej nie zaznał głodu. Choćby takiego okrutnego, jak ten na przednówku w 1944, gdy mieszkając w samotnie stojącym baraku, na pustkowiu (14 kilometrów za Taskesken, w kierunku Chin, ok. 2 kilometry od szosy), wszyscy cierpieliśmy na „kurzą ślepotę”, a ja – często skulony z głodu – powtarzałem kazachskie słowo „dzejm” (jeść), by polskim słowem nie martwić spuchniętej z głodu Babcia, cierpiącej od ran na rękach, z których wydobywała się ropa. Babcia leczyła te rany liśćmi babki (bo ani lekarza, ani leków w Taskesken i okolicy, w promieniu ponad 60 kilometrów, nie było), a gdy w zimie Babcia miała ataki astmy, to ratowała się, przykładając do ust i nosa szmatkę zamoczoną w nafcie, co przynosiło jej pewną ulgę w oddychaniu.

Ten czteroletni brak chleba w Kazachstanie, a potem jego obfitość w Polsce (w Dorohusku i w Państwowym Domu Młodzieży „Młody Las” w Toruniu, dla sierot i półsierot po wojnie, którego byłem wychowankiem w latach 1947–1950, ale też w stołówkach studenckich Wrocławia i Gliwic, 1952–1958), spowodował u mnie coś w rodzaju „syndromu lęku głodu i sakralizacji chleba” z pewnym skutkiem w mej świadomości, o czym opowiem później, bo dotyczy on głównie pobytu w „Młodym Lesie”.

– *Czy możesz najpierw krótko powiedzieć – skąd pochodzisz i skąd Cię deportowali.*

– Urodziłem się na Podolu, w powiecie Trembowla. Mój Ojciec, urodzony w powiecie Garwolin, po wojnie w 1920 z bolszewikami ukończył szkołę policyjną i był podoficerem w jednej z gmin w powiecie Trembowla. Po 17 września 1939, gdy Armia Czerwona zbliżała się do Trembowli, policjanci tego posterunku i z gmin sąsiednich, na rozkaz komendy powiatu, w pełnym uzbrojeniu i we

współpracy z oddziałami Wojska Polskiego, udali się na Węgry. Po walkach z atakującymi ich zbrojnymi grupami UPA², wszyscy policjanci dotarli na Węgry i zostali internowani w obozach zbiorczych (gyűjtőtábor) dla polskiego wojska i policji w miastach Sopron i Sárvár.

W kolejnych dniach, gdy NKWD prowadziło na wschód granatowe kolumny policjantów i zielone żołnierzy WP (którzy nie zdołali dotrzeć na Węgry), upowcy utworzyli szpaler po obu stronach szosy, by wypatrzeć miejscowych policjantów, wyprowadzić ich z kolumny i dokonać samosądu. Nikogo nie rozpoznali, co wywołało ich gniew i z okrzykami: „*Na pohybel Lacham*” zapowiedzieli zemstę na rodzinach policjantów. Sytuacja była groźna, gdyż już kilka dni po wybuchu wojny (ponad tydzień przed 17 września) w jednej z sąsiednich wsi młody upowiec, zachodząc z tyłu swego sędziwego sąsiada Polaka, gdy ten, zajęty skręcaniem papierosa, poił krowy nad rzeką, uderzeniem siekiery rozłupał mu głowę. Moją Mamę uratowała rodzina Ukraińców, ukrywając ją przez kilka dni na strychu ich domu, a potem przewożąc do Dziadków wieczorem, ukrytą na wozie w jednej z kilku bel słomy. Nie podaję nazw miejscowości ani nazwisk rodziny Ukraińców i bestialsko zamordowanego Polaka (są w publikacjach), bo ja też, jako dziewięcioletni uczeń czwartej klasy ukraińskiej szkoły w 1939/40 byłem napadany i bity przez grupę starszych ode mnie uczniów– Ukraińców, którzy wyczekiwali na mnie, gdy po lekcjach wychodziłem do domu. A gdy liczba czyhających na mnie napastników i częstość napadów rosła, ja zaś po lekcjach bałem się wyjść z budynku szkoły, jeden z nauczycieli (Ukraińiec) otoczył mnie opieką i za rękę wyprowadzał z budynku na pewną odległość od domu. Nie przypominam sobie

²Termin: grupy UPA użyto tu zamiast bandy UPA, by nie pogłębiać różnic w poglądach na dzieje polsko-ukraińskie, gdy Ukraina znajduje się w kleszczach sąsiada ze wschodu, a niebiesko-żółta flaga, wiele tygodni powiewała na maszcie we Wrocławiu (ul. Borowska) podczas wydarzeń w Kijowie i nikt z wrocławian (tych z Kresów II RP) tej flagi nie zerwał, choć pamiętają mordy UPA. Termin bandy UPA występuje u wielu autorów (np. A.D. Rotfeld, *W cieniu. 12 rozmów z M. Wojciechowskim*, s.47).

nazwiska tego Wielce Szlachetnego Nauczyciela, ale jego sylwetkę zapamiętałem na zawsze, gdy stojąc na drodze, patrzył za mną aż bezpiecznie dotrę do domu. Nie pamiętam, czego mnie uczył. Przypuszczam, że należał (lub był spokrewniony) do rodziny, która dbała o wykształcenie młodzieży i była daleka od UPA.

Jedna z dziewczyn tej rodziny, uczennica gimnazjum w Trembowli, była „skrzynką kontaktową” mojego krewnego (kolegi z jej klasy), który w 1939, po wkroczeniu Sowiec, przedostał się z Trembowli do Wojska Polskiego we Francji. Walczył w bitwie pod Clos du Doubs, w 2. Dywizji Strzelców Pieszych gen. Prugar-Ketlinga, a potem był w Szwajcarii w obozie internowanych żołnierzy tej dywizji i przez cały okres wojny wysyłał wiadomości swym rodzicom przez tę gimnazjalistkę. Pisał też pod znaczkami pocztowym na pocztówce, a ona te pocztówki przekazywała jego rodzicom we wsi, gdzie działała UPA mordująca Polaków. Mimo tej ostrożności, jego starszy brat (lat 28), czołgista WP z września 1939, został zaszytyłowany w tej wsi, gdy ze Lwowa przybył odwiedzić rodziców. Zamordowali go dawni koledzy szkolni i wrzucili konającego do rzeki. O świcie następnego dnia jego brat widział, jak jedna z Ukrainek zacierała ślady krwi na ścieżce biegnącej nad tą rzeką. Jej sąsiad, Polak, który słyszał odgłosy mordu i rozpoznał sprawców, został też później zamordowany.

Kilka lat temu, gdy pierwszy raz (od 1940) odważyłem się pojechać na Podole, z okazji koronacji obrazu u dominikanów w Czortkowie z udziałem hierarchów obu Kościołów katolickich, autobusem odwiedziłem kilka miejscowości (m.in. sanktuarium w Zarwanicy) i znając nazwisko tej przedwojennej gimnazjalistki, próbowałem ją odnaleźć, by dowiedzieć się o losach mojego Nauczyciela – Wybawcy. Okazało się, że zmarła wiele lat temu, a miejscowy człowiek, który mnie po tej wsi oprowadzał, zasugerował, że wizyta kogoś z Polski u jej żyjącego syna nie jest wskazana. Tę ostrzegającą sugestię mieszkańca wsi zrozumiałem po słowach, jakie wypowiedzieli dwaj sędziwi panowie, siedzący na ławce w parku w Stanisławowie, na widok grupy Polaków: „*Idut Lachy*.”

*Szkoda, szczo my jich wsich ne wyrizaly*³. Dyskomfort psychiczny tych panów, że „nie wyróżnili wszystkich” [Polaków] nakazuje mi zachowanie ostrożności, bo chcę jeszcze odwiedzić miejscowości, gdzie chodziłem do szkół i zapalałem znicze na cmentarzach. Chcę jeszcze złożyć kwiaty na mogile mojego krewnego, czołgisty WP, członka AK we Lwowie. Jego mogiłę wielokrotnie demolowano, dopóki w napisie na nagrobku polskie słowo „zamordowany” (przed datą śmierci) nie zostało zastąpione przez skrót „zam”, który potraktowali jako skrót od „zmarł”.

– *Czy w kwietniu 1940, jako rodzina policjanta, byliście choć trochę przygotowani do zsyłki, bo były już informacje o przeprowadzonej w lutym 1940 błyskawicznej, w ciągu kilku godzin po północy, deportacji leśników i osadników na Syberię. Wysłano ich wtedy, w czasie okrutnych mrozów, m.in. do Krasnojarska, skąd wiezieni dalej saniami (ok. 300 kilometrów), po zamrożonej rzece Jenisej, trafili daleko na północ, do tajgi – aż za miasto Jenisejsk.*

– W kwietniu 1940 nie byliśmy przygotowani do zsyłki. Poczucie pewności, że nas nie deportują, pochodziło z zapewnień wiarygodnego (w tym czasie) źródła, szkolnego kolegi Mamy – Szymka, syna biednej, owdowiałej pani Sury. Szymek pytany przez Mamę wielokrotnie zapewniał, że „*po was nie przyjdą*”. Pani Sura miała dwóch synów i nasza wiara w zapewnienia Szymka pochodziła z faktu, że gdy Armia Czerwona pojawiła się na szosie Trembowla – Buczacz, niedaleko domu pani Sury, to już rankiem następnego dnia obaj synowie, z czerwonymi opaskami na rękawach cywilnych ubrań, uzbrojeni w sowieckie karabiny z bagnetami, jako „patrol ludowej milicji”, z powagą, wolnym krokiem, patrząc tylko wprost przed siebie, w milczeniu, jakby krępowali się roli, którą im wyznaczyło NKWD. Kroczyli uliczkami wsi, startując od strony ich domu, gdzie zapewne jakiś „komandir” NKWD ich w tę broń wyposa-

³ Zdania: *Idą Lachy. Szkoda, że ich wszystkich nie wyróżniliśmy*, świadczą o przeszłości obu panów w dziele wyrzynania Lachów (od słowa „*rizaty*” pochodzi termin „*rizuny*” – synonim band UPA). Zdania te wypowiedzieli owi panowie w dniu, gdy miasto było udekorowane zdjęciami Stepana Bandery, po ogłoszeniu go za bohatera narodowego Ukrainy przez ówczesnego prezydenta tego kraju.

zył i odpowiednich instrukcji udzielił. Nigdy nie widziałem, by tym dwóm „milicjantom” towarzyszył jakiś sowiecki „bojec” NKWD. Innych patroli „ludowej milicji” w tej wsi też nie pamiętam. Synowie pani Sury wydawali się więc reprezentantami władzy sowieckiej, dobrze zorientowanymi. Pani Sura była też rówieśniczką i koleżanką mojej Babci, która zawsze, gdy wypiekła chleb (a była to procedura powtarzana co tydzień), przez kogoś z domowników porywała jeden bochen „dla Surci”. Ostatni bochen został też zanieśiony do domu pani Sury na kilka dni przed 13 kwietnia 1940.

Obecność tego „patrolu ludowej milicji” przyniosła pewne uspokojenie Polakom na wsi, bo poprzedniego dnia, gdy tylko pierwsze oddziały Armii Czerwonej pojawiły się na szosie Trembowla – Buczacz, to kilkunastoosobowe grupy młodych (16–19 lat) Ukraińców, zapewne na rozkaz lokalnych dowódców UPA, uzbrojeni w młotki „drożników” o długich trzonkach, przemieszczały się ulicami wsi, wstępując do domostw Polaków, by swych kolegów z ławy szkolnej, często sąsiadów, tymi młotkami bić do utraty przytomności. Widziałem taki napad na dom sąsiadów. Ich ośmioletniego syna szukali najpierw w domu, potem w innych budynkach zagrody, aż znaleźli ukrytego w ogrodzie za domem. Widziałem tę bandę uradowaną „sukcesem bojowym”, gdy wracali z ogrodu na ulicę, coś skandując i wymachując tymi długimi młotkami. Po pewnym czasie, gdy banda oddaliła się, widziałem, jak starsi już rodzice nieśli nieprzytomnego, krwią ociekającego syna do domu. Chłopiec tę masakrę przeżył i potem już go nie widziałem (ukrywał się w jakimś mieście, może w Trembowli). Po 1945 osiadł w Dzierżonowie na Dolnym Śląsku.

W 1944 roku, tydzień przed wkroczeniem Armii Czerwonej, około 55-letni ojciec pobitego został bestialsko zamordowany. Najpierw ucięli mu „język lachowy”, by po kolejnych torturach, w asyście zawołań „*Smert' Lacham*” i bojowej pieśni UPA: „*Nebo bude wilna Ukraina, nebo lacka krow po kolina*” (Albo będzie wolna Ukraina, albo Lachów krew po kolana), nieszczęsny starszy pan, ich dobry znajomy i przyjaźnie z nimi żyjący rolnik, dla wielu sąsiad, skonał w kałuży krwi. W tym dniu (1944), zamordowano ok. 50

Polaków w tej wsi. Wielu zwłok nie odnaleziono. Przypuszcza się, że „żołnierze” UPA, masakrując zwłoki zamordowanych, zakopali je w miejscu, gdzie zwykle zakopywano padniętą zwierzynę (na tzw. „ścierwisku”).

– *Gdy publicznie opowiadasz o zesłaniu na stepy Kazachstanu, to zaskakujesz słuchaczy takimi słowami: Ja życie zawdzięczam Józefowi Wissarionowiczowi, bo gdybym nie został zesłany do Kazachskiej SRR, to „żołnierze” UPA dopadliby mnie, 14-latka, i po torturach, zmasakrowanego, wrzucili do dołu nazywanego „ścierwiskiem”, gdzie zakopywano padniętą zwierzynę. Tak mówiłeś na spotkaniu waszego roku studiów, podkreślając, że już jako 9-latek, uczeń ukraińskiej szkoły w 1939/40, byłeś na „celowniku UPA”.*

– W programie spotkania organizatorzy nadali mojemu wystąpieniu taki tytuł: *„Zsyłka do krainy Wszechobecnego i Wszechwładnego NKWDemosa na kazachstańskich bezkriesnych prastorach Sowiet-skoj Eudajmoniji, poczętej w psyche trojki antropofagicznych demonów: Wołodi, Felka i Józka (synów Ilji, Edmunda i Wissariona), co teraz męki cierpią w czeluściach Tartaru”*, gdzie kombinacja słów rosyjskich i greckich miała podkreślić demoniczną i ludożerczą (antropofagiczną) naturę NKWD, rodem od Dzierżyńskiego, którą udoskonalił Stalin, a piewcy sławy ZSRR - jak Siergiej Michałkow, autor słów hymnu ZSRR i pieśni o Pawce Morozowie⁴ – te bezkresne obszary terroru nazywali sowiecką „szczęśliwością” (gr. eudajmonią, ale organizatorzy nazwali z rosyjska: eudajmoniją).

A słowa pieśni sławiące Pawkę są takie: *„Walczył z wrogiem. I pokazał innym, jak to robić. Wobec całej wioski, zdemaskował własnego ojca”*. Są to słowa autora bajek dla dzieci, np. wydanej w Polsce bajki pt. „Nie płacz, koziołku” (2016), która kończy się morałem, że po niebezpiecznych przygodach koziołek zapamię-

⁴Pawka Morozow był sławiony (np. na znaczkach pocztowych, pomnikach) jako wzór dla młodzieży, w okresie kolektywizacji i walki z kułactwem w latach 30. XX w. Został zabity przez członków rodziny (prawdopodobnie dziadka), w zemście za wydanie ojca i innych osób z jego wsi w ręce stalinowskiej bezpieki, gdzie zginęli.

tał na zawsze, że należy słuchać rodziców. Jest to przykład rozdwojenia jaźni konformisty, bywałego na dworze Stalina, np. gdy (według jego relacji w piśmie „Ogoniok”) przedstawiał Stalinowi słowa hymnu ZSRR (np. słowa: „*Nas wyrastil Stalin – na wiernost' narodu, na trud i na podwigi nas wdochnowil!* (wychował nas Stalin w wierności ludowi, zapalił nas do pracy i czynów), które spodobały się wodzowi i na jego życzenie dopisał dodatkową zwrotkę o Armii Czerwonej. Tenże Michałkow, na życzenie kolejnych władców Kremla (Chruszczowa i Breżniewa), wielokrotnie zmieniał słowa tego hymnu. A potem, na życzenie Putina, napisał hymn Federacji Rosyjskiej, do tej samej melodii hymnu ZSRR.

– *Do jakiej docelowej stacji w Polsce dotarł wasz eszelon, gdy wyruszył z Dorohuska?*

– Staliśmy długo w Lublinie, na odległych od dworca osobowego torowiskach stacji towarowej (pełnej wagonów i stojących pociągów) i z braku ubikacji wszystkie potrzeby fizjologiczne musieliśmy załatwiać na torach lub ich poboczu, co wymagało przepędzania pod wagonami (lub przeprowadzenia się po zderzakach między wagonami) stojącymi na sąsiednich torach. Nie pamiętam, czym nas wtedy karmiono i czy nasz eszelon był rozczłonkowywany na części, by je kierować do różnych miejscowości w Polsce. Pamiętam tylko tragiczny wypadek, gdy dziewczynce (ok. 10 lat) ruszający z sąsiedniego toru pociąg uciął nogę powyżej kolana, gdy – wraz z innymi - wracała pod wagonem tego pociągu. Wszystkie koleżanki zdążyły, a jej noga została pod tym pociągiem. Nigdy nie zapomnę rozpaczyny jej matki i osób, które usiłowały tamować krew tryskającą z kikuta nogi jęczącej z bólu dziewczynki. To był dramat. Przeżyła deportację, 6-letnią poniewierkę o głodzie i niedostatku wszystkiego i na progu odzyskanej wolności, w Ojczyźnie, spotkało ją tak wielkie nieszczęście.

Kolejny dłuższy postój eszelonu był w Poznaniu, gdzie kolejno odłączano jego części i kierowano w różne strony Polski. Pamiętam tylko, że wagon z rodziną pana Kuczerawego z Taskesken skierowano chyba do Drezdenka. Pan Kuczerawy pełnił („w czasach Andersa”) funkcję przedstawiciela Polonii w Taskesken z De-

legaturą Rządu RP w Ajaguz, której szefem był prof. Edward Dubanowicz (współautor książki pt. Na placówce w Ajaguz, gdzie na stronie 16 są wymienieni wszyscy przedstawiciele Polonii w miejscowościach podległych tej Delegaturze: Myn-Bułak, Kara-Koń. Ucz-Aszczi (tj. nasz Żejpak) i Taskesken⁵. Syn pana Kuczerawego (starszy ode mnie) miał na imię Leopold; imienia córki (ok. 20 lat) już nie pamiętam.

Przypuszczam, że w miejscowości Kara-Koń (siedzibie władz sowchozu Kara-Koń) przebywała hrabina Dzieduszycka, bo często nocowała w tzw. „Bazie sowchozu Kara-Koń” w Taskesken z jej chorą córką, którą później zabrano do szpitala w Ajaguz, gdzie umarła. Losy pani hrabiny w Kazachstanie są więcej niż tragiczne, np. ze względu na stan psychiczny córki nie mogła nocować w zbiorowej izbie, gdzie była tylko jedna duża drewniana prycza, wyścielona słomą, na której nocowali przewoźnicy sowchozowi (głównie Polki), śpiąc na niej pokotem po trudach podróży wołami z odległych miejscowości. By nie utrudniać odpoczynku zmęczonym przewoźnikom, pani hrabina wraz z córką nocowała w kurniku na grubej warstwie słomy, obok grędy z kilkoma kurami kierownika tej bazy. Podobno wraz z armią Andersa, przez Persję, dotarła do Włoch i tam napisała wspomnienie o Polakach spotkanych w Kazachstanie. Żałuję, że nigdy nie przekazałem powyższej informacji panu Wojciechowi Dzieduszyckiemu we Wrocławiu ani w czasach jego popularności, gdy kierował kabaretem „Dymek z papierosa” (i dla nas, studentów Wrocławia, organizował przedstawienia), ani u schyłku jego życia, gdy spotykałem go na ulicy, podążającego o lasce do filharmonii przy ul. Marszałka Piłsudskiego (dawnej gen. Świerczewskiego).

Ostatecznie nasza część eszelonu dotarła do Gubina, gdzie wyładowano nas z wagonów i zakwaterowano w potężnej sali szkoły położonej tuż przy moście przez Nysę Łużycką, łączącym obie części dawnego Guben, pełnej piętrowych łóżek, z materacami i pościelą (koce) posypaną białym proszkiem. Był to DDT (popular-

⁵ O losach rodziny Dubanowiczów pisaliśmy w poprzednich numerach „Głosów”- przyp. redakcji.

ny w czasie II wojny w armiach zachodnich środek przeciw insektom przenoszącym tyfus), który miał zabić wszystkie insekty, a głównie wszy, przywiezione przez nas z zesłania w Kazachskiej SRR. Dostaliśmy odzież z darów UNRRA (przefarbowane sorty mundurowe armii USA, które już znaleźliśmy z czasów Andersa w Kazachstanie) i tę odzież oraz nas samych też obficie potraktowano DDT za pomocą jakiejś dmuchawy. Wyglądaliśmy jak młynarze po dniu pracy, pokryci białym proszkiem (chodziłem dumny, mając włosy „przyprószone siwizną” – jak starszy pan). Cdn.

Eugeniusz Jaworski
Żagań

Wspomnienia o zesłaniach na Syberię, o których nie można zapomnieć

Opowiada Janina Połosa z d. Listowska zamieszkała niegdyś we wsi Dobromirka pow. Zbaraż, woj. Tarnopol. Spisał Eugeniusz Jaworski.

Wieś Dobromirka leży na wschód od Zbaraża, za Łubiankami Wyższymi w sąsiedztwie wsi Huszczanka, Łozówka i Chodówka. Do stacji kolejowej Maksymówka było około 8 kilometrów. Tu bierze początek rzeka Wołczanka, która wpływa do jeziora w Medyniu i dalej płynie jako dopływ granicznej rzeki Zbrucz.

We wsi mieszkali Polacy oraz Rusini, czyli Ukraińcy, z przewagą tych drugich. Tu urodziłam się i spędziłam lata dzieciństwa i szkolne przerwane wybuchem wojny. Moi rodzice mieli bardzo dobre stosunki ze wszystkimi sąsiadami. Nie było żadnych nieporozumień ani uprzedzeń. Nawzajem sobie pomagali przy różnych pracach w polu i w domu. Dopiero po 17 września, gdy wkroczyła Armia Czerwona, rozpoczęły się niesnaski, chociaż jeszcze w szkole młodzież ukraińska nie okazywała tego jawnie...

Sowieci obsadzili władze we wiosce Ukraińcami prorosyjskimi, którzy natychmiast niewygodne im polskie rodziny umieścili

na pierwszej liście proskrypcyjnej – do wywózki na Sybir. Dziś, choć przeżyłam 85 lat, do tego strasznego przeżycia wciąż wracam, bo nie da się tego zapomnieć. Szczególnie noc 10 lutego 1940 roku zapisaną mam w pamięci na zawsze.

Około godziny 4.00 zapukał do naszych drzwi enkawudzista i sąsiad Ukrainiec krzyknął: *Otwórz drzwi!* Ojciec otworzył je, a enkawudzista z bronią wrzasnął: *Do kąta siadaj ty i dziadek też.* Mnie i moją siostrę Marię obudzili i kazali nam się ubierać. Enkawudzista przeczytał nakaz, że będziemy przesiedleni, tylko nie powiedział dokąd.

Mama przestraszona nie wiedziała, co ma robić, ojca nie puścili, trzymali pod strażą, a ja i Maria oraz babcia ubrałyśmy się, po czym kazali nam wsiadać na sanie, które czekały na naszym podwórzu. Wypędzili wszystkich i zawieźli koło rzeki, tam była zbiórka pozostałych rodzin. Zobaczyliśmy, że było nas ze wsi Dobromirki 15 rodzin, które wymieniam:

1. Józef Żabski z żoną i synem.
2. Tomasz Żabski z żoną.
3. Piotr Żabski z żoną i dwojgiem dzieci.
4. NN Zagórska.
5. Jan Podgórski z żoną i synem.
6. Władysław Popiel z żoną i synem.
7. Tomasz Podgórski z żoną i trojgiem dzieci.
8. Władysław Podgórski z żoną, dwoje dzieci i rodzice.
9. Adam Bodnar z żoną i synem oraz bratem i matką.
10. Stefan Listowski z żoną i dwojgiem dzieci.
11. Grzegorz Garwoliński z żoną i trojgiem dzieci.
12. Jan Unold z żoną i dziećmi: Marią, Edwardem, Tomaszem i Janiną.
13. Franciszek Kruk z żoną i dziećmi: Albiną, Milką, Zofią, Adolfem i Walerianem.
14. Otto Czerczuk z żoną, ojcem i siostrą.
15. Jan Bonczar z żoną, ojcem i siostrą.

Ludzie przypędzeni tu na plac byli bardzo zmarznięci (około minus 30 stopni). Później cały transport ruszył saniami do stacji

Maksymówka. Tam były przygotowane wagony towarowe, do których zaczęto upychać ludzi.

W naszym wagonie było dziewięć rodzin, tj. 32 osoby. Był piecyk i wycięta dziura w podłodze służąca jako toaleta. Pociąg jechał bez dłuższego postoju, dzień i noc. Podróż trwała ponad cztery tygodnie.

Dojechalśmy nareszcie do Swierdłowska (obecnie Jekaterynburg – przyp. red.). Tam nas przeładowali na odkrytą platformę na wąskotorówce. Tak dojechalśmy do Turyńska. Były tam duże baraki, do których nakazali nam się wyładować. Nocowaliśmy w nich dwie noce. Wokół ścian były trzypiętrowe prycze, na których odpoczywaliśmy. Następnego dnia zaczęli nas rozwozić dalej, w głąb Syberii.

Pod baraki podjeżdżały małe sanki z jednym konikiem w kabłąku, w sankach mieściły się trzy, cztery osoby i wieźli nas tymi saniami dwa dni (90 km), szeroką rzeką Tawdą, po lodzie. Koryto rzeki było mocno zamrożone. Nie pozwalali nam się załatwiać w czasie tej podróży. Starsza osoba – dziadzo – gdy zszedł z sań za potrzebą, nie mógł z powrotem dostać się na sanki, gdyż każdy furman miał komplet ludzi i nikogo nie chciał zabrać. Dziadzio przyczepił się do ostatnich sanek, bo nie miał innego wyjścia. Był bity przez furmana batem, ale się utrzymał i dojechał do miejscowości Taborów. Było to nasze rejonowe miasteczko.

Stamtąd wieźli nas jeszcze 45 km do posesiłka (kolonia leśna) Ozierki. Stały tam drewniane domy na pięciu ulicach. Na każdej znajdowało się po 19 domów. Były to ulice: Leśna, Polna, Szkolna, Centralna i Brzegowa. Każdy dom był jednakowy, podzielony deskami na pół. Do połowy jednego domu kwatrowali dwie rodziny. Połowa domu miała 4 metry długości i 2,5 metra szerokości. Stały tam trzy prycze dla 10 osób. Po drugiej stronie domu było 7 osób.

Na początku byliśmy pod ścisłą kontrolą komendantury. Nie wolno było nigdzie chodzić bez zgody. Musieliśmy brać od komendanta „*sprawkę*” – przepustkę, aby iść kupić cebulę u tamtejszych mieszkańców. Chodziliśmy do Ozierek – 6 km od nas, lub do dru-

giej wioski oddalonej 10 km – Jechtal. Nic ponadto nie można było kupić, ponieważ ci ludzie niczego więcej nie mieli. To byli stali mieszkańcy. Jak ktoś miał do sprzedania lub wymiany coś z odzieży, mógł liczyć na groch lub zmieloną pszenicę na kaszę.

W 1941 roku, gdy ogłoszono amnestię, dużo polskich rodzin z tego skorzystało. Wielu młodych mężczyzn poszło do armii Andersa.

Zimą 1942 roku można było wyjeżdżać do Iranu. Skorzystała z tego połowa naszych ludzi. Później ograniczano wyjazdy, nie dawano nam transportu i musieliśmy zostać na miejscu do końca.

W 1943 roku od każdego, kto nie wyjechał, żądano przyjęcia obywatelstwa sowieckiego. Wszystkie osoby powyżej 18 roku życia, które tego odmawiały, karane były dwuletnim więzieniem. Pamiętam, że skazano sześć osób, a wróciło tylko dwóch mężczyzn. Pozostałych, którzy nie wzięli ruskich paszportów, zabrano do miejscowości Taborów. Pracowali tam, ścinając drzewa.

Pewnego razu bardzo płakałam, bo chciałam iść do ojca z innymi kobietami, które szły do swych mężów, którzy pracowali bardzo daleko – to było 45 km. Wyruszyliśmy o szóstej rano i doszliśmy tam o dziewiątej wieczorem. Nie czułam nóg. Nie miałam już siły iść. Miałam wtedy 16 lat, a co gorzej, byłam chuda i zagłodzona. Tato, gdy mnie zobaczył, to się wystraszył, wziął mnie na ręce i zaniósł do ubikacji, bo sama nie miałam siły. Tato miał bardzo ciężką pracę, która trwała sześć miesięcy, a zbliżała się pora jesienna.

Wanda Wasilewska organizowała armię polską i ściągала Polaków od 18 roku życia. Ludzie nie wierzyli, że to możliwe, ponieważ nie mieli żadnych informacji z kraju. Ludzie bali się, że znów ich wywiozą, więc prawie tydzień chowali się po lasach. W tym czasie niektórych młodych zabrano do wojska (także moją siostrę Marię – miała wtedy 20 lat). Skierowano ich do Sielc na przeszkolenie, a później na front. Siostra przeżyła wojnę i szła całym szlakiem bojowym z I Armią WP aż do Berlina. Była cały czas telegrafistką.

My z mamą pozostaliśmy na miejscu i przeżyliśmy okropny czas głodu i nędzy. Dla pracującego dawano 50 dkg chleba dziennie, na niepracującego 30 dkg. Pracujący dostawali na miesiąc kilogram grochu, a niepracujący 30 dkg. Nie było co jeść, brakowało tłuszczu, cukru, a nawet soli. Jedliśmy trawę i wszystkie chwasty, lebidę, łąty z ziemniaków i co kto ukradł sobie, jeśli go nie złapali. Ujętych bardzo surowo karano. Kasia Fryc, gdy przy przebieraniu ziemniaków wzięła dwa kartofle, dostała dwa lata łagru, skąd już nie wróciła. Gdy wracaliśmy z jakiegokolwiek pracy, przychodziła Ruska i każdego przeszukiwała po kieszeniach, czy czegoś nie wynosi.

W lutym 1944 roku mojego tatę spotkało najgorsze – został aresztowany. Pracował przy robieniu koryt dla świń, które były karmione makuchami⁶. Tato po pracy schował dwa kawałki makucha za kufajkę i z tym został złapany. Za to go zamknęli i oddzielili od nas; już do nas nie powrócił. Natomiast mamie kazali podpisać, że on przyniósł te makuchy do domu. Mama nie zgodziła się, ale podpisał to sąsiad. Tatę zabrali do Taboru, a później do Świerdłowska. Wiadomo nam, że do maja jeszcze żył, a później nikt go już nie widział.

We wrześniu 1944 roku przyjechała delegacja wojskowa do polskich rodzin i zorganizowała nam powrót do ojczyzny. Najpierw dowieźli nas do rzeki Tawdy końmi, a stamtąd barką dopłynęliśmy do miasta o tej samej nazwie. Było to 200 km od miejsca zesłania. Jechaliśmy dwa tygodnie, bo było dużo postojów. W Tawdzie załadowaliśmy się na pociąg i przywieziono nas na Ukrainę do oblasti Winnicka, rajon Stanisławczyskij, wieś Noskowcy. Rozkwaterowano nas tymczasowo po ukraińskich rodzinach. Byłam tam z mamą do września i pracowałam przy zbiorze jabłek. Później te jabłka tarłyśmy, a następnie wyciskano sok. Robiono z tego dobre wina. Tak pracowałam z mamą do 15 listopada.

Ponieważ było to już niedaleko byłej polskiej granicy (Podwołoczyska), więc kontaktowaliśmy się z powracającymi polskimi

⁶ Makuchy – wytloki będące ubocznym produktem tłoczenia oleju z roślin oleistych, stosowane jako wysokobiałkowa pasza dla zwierząt – przyp. red.

żołnierzami. Mój problem zaczął się z chwilą, gdy okazało się, że nie mam żadnych dokumentów pozwalających na przejście granicy. Mama dokumenty miała, ja natomiast, zabrana w wieku 15 lat, nie posiadałam nic prócz zeszytów szkolnych z Polski. O tym zwierzyła się mama pewnemu oficerowi, który przyjechał po swoją matkę i miał prowadzić wojskowy transport z sianem na front. Obiecał mamie, że mnie przemyci przez granicę. Transport miał ruszyć wieczorem następnego dnia. Załadowano mnie w to siano i czekałam tak na odjazd. Jechałam nie wiem ile – dobę czy dwie, ale jak usłyszałam głos: Tu Podwołoczyska, wylazłam z tego siana zmęczona, ale ucieszona, że już jestem w Polsce. W taki sposób uciekłam z Kraju Rad.

Dojechalśmy z mamą do stacji Maksymówki, a stąd wyruszyliśmy pieszo z bagażem do Kretowiec koło Zbaraża, cztery kilometry. Tam była nasza rodzina, która też szykowała się do wyjazdu. Tu dołączyliśmy do rodziny i dopiero w grudniu podstawiono nam wagony. Był to dzień 8 grudnia w godzinach popołudniowych, przy 15-stopniowym mrozie. Zaczęliśmy się ładować po cztery i więcej rodzin do wagonu.

Mieszkańców Hrycowiec i Kretowiec, którzy już wcześniej opuścili swoje mieszkania, zakwaterowano w Zbarażu przy stacji oraz w mieszkaniach pożydowskich. Wszyscy oni wraz z nami załadowali się na transport liczący 60 wagonów i w nocy na zawsze opuściliśmy nasze Podole.

Zbigniew Żyromski

Wrocław

Zwyczaje ludności kresowej na Podolu

Cz. IV (ostatnia) Październik – grudzień

Rokrocznie monasterzyczenie czcili pamięć zmarłych członków rodziny w dzień Wszystkich Świętych oraz Zaduszki. Modlono się także za tych, którzy nie zostali wyniesieni na ołtarze. Najważniejszym akcentem oprócz uczestnictwa w nabożeństwie

było nawiedzenie grobów na miejskiej nekropolii. W mieście znajdowały się dwa cmentarze katolickie: główny przy ul. Mickiewicza i drugi na przedmieściu Berezówki – Sianożętach. Przed świętem rodziny zmarłych porządkowały groby. Cmentarze były utrzymane czysto, choć skromnie, spotykało się na nich wiele ładnych nagrobków. W środkowej części cmentarza znajdowała się kaplica Potoczkich i Młodeckich. Wszystkie groby wojskowe były uporządkowane, a na każdym paliła się świeca. Przed wojną nie znano zniczy – tak w domach, jak i na nagrobkach używano zwykłych świec. Dla ochrony przed wiatrem stosowano najróżniejsze osłony własnego pomysłu.

Dzień Wszystkich Świętych i Zaduszki były okazją dla biednych, zwanych u nas „dziadami”. W tych dniach gromadzili się oni od rana do późnego wieczora wzdłuż wszystkich ścieżek prowadzących do poszczególnych części cmentarza i kaplicy. Siedzieli, powtarzając zdrowaśki i wyciągając ręce po datki.

Po powrocie Józefa Piłsudskiego z twierdzy magdeburgskiej do Warszawy 10 listopada 1918 roku po rozpadzie Austro-Węgier Rada Regencyjna przekazała mu 11 listopada zwierzchnictwo nad wojskiem. Tę datę ustanowiono Świętem Niepodległości. Był to dzień wolny od pracy i nauki. W całym kraju uroczystości były bardzo okazałe. W miejscowościach, w których stacjonowało wojsko, organizowano defilady – ze szczególnym rozmachem w Warszawie i Krakowie. Wobec tego, że w Monasterzyskach nie było jednostki wojskowej, w obchodach brało udział harcerstwo oraz organizacje paramilitarne: Strzelcy i Przynależenie Wojskowe Kobiet. Urządzano zbiórki, marsze szlakami bitew Legionów oraz pogadanki z młodzieżą. Całe miasto udekorowane było okolicznościowymi afiszami, portretami dostojników państwowych i flagami o barwach narodowych. Tradycją były wieczorne marsze ulicami, w których oprócz członków organizacji społecznych szli także mieszkańcy z dziećmi niosącymi w ręku chorągiewki. Uczestnicy nieśli sztandary organizacji, zaś Strzelcy szli z pochodniami, oświetlając trasę przemarszu. W pochodzie uczestniczyła także fabryczna orkiestra dęta, grająca melodie patriotyczne, zaś uczestnicy śpiewali między inny-

mi pieśń legionową „My, Pierwsza Brygada” autorstwa Tadeusza Biernackiego i Andrzeja Hałacińskiego:

*Legiony to żołnierska nuta,
Legiony to straceńców los,
Legiony to rycerska buta,
Legiony to ofiarny stos.*

*O, ileż mąk, ileż cierpienia,
a ileż krwi, wylanych łez.
Pomimo to – nie ma zwątpienia,
Dodawał sił wędrowniki kres.*

*My, Pierwsza Brygada,
strzelecka gromada,
na stos rzuciliśmy
nasz życia los,
na stos, na stos!*

W dniu tym odprawiano również mszę świętą ku czci żołnierzy i cywilów, którzy padli w bojach o odzyskanie niepodległości po latach niewoli. Kościół był zawsze wypełniony uczestnikami uroczystości.

Mieszkańcy Kresów pamiętają, że zimy w tamtych stronach były prawdziwie śnieżne, a mróz wymalowywał na szybach przepiękne wzory kwiatowe. Już na początku grudnia zaczynał padać śnieg, który utrzymywał się aż do wiosny. Nie zdarzało się, aby w dniu św. Mikołaja nie było śniegu, bo przecież przyjeżdżał on na saniach. Dzieciom tłumaczono, że święty przynosi prezenty w nocy. Były one niedrogie, ale przyjemne i oczekiwane – dzieci nie spodziewały się podarków nieosiągalnych. Po przebudzeniu zawsze znajdowały pod poduszką kilka zapakowanych pudełek. W jednym były bombki na choinkę, w drugim wyroby czekoladowe lub ciukiernicze jako ozdoby, w innym coś praktycznego, jak buty, sweter lub rajtuzy. Był to dzień radości, oglądania i przymierzania prezentów.

W szkole lub Domu Sokoła urządzano zabawy mikołajowe, przygotowywane przez organizacje charytatywne dla dzieci z biednych rodzin.

Mikołaj przychodził zawsze w czerwonym płaszczu ze złotymi wyszywkami, ale bardzo prosto skrojonym. Czapka i laska były bardzo podobne do infuły i pastorału biskupiego.

Pierwsze dni grudnia to początek Adwentu, czyli czas oczekiwania wiernych na przyjście Zbawiciela. Adwent rozpoczynał jednocześnie rok kościelny. Babcia codziennie o godzinie szóstej rano chodziła na roraty, co dla nas, dzieci, było bardzo tajemnicze. My zaś z pomocą starszych przygotowywaliśmy ozdoby choinkowe. Mimo że można je było kupić w sklepie, w naszym domu panowała zasada, że kupowano głównie bombki i ozdoby czekoladowe. Ojciec kupował także dwa zestawy wycinanek pasterzy z kartonu oraz kolorowy papier, z którego oraz źdźbeł słomy kleiliśmy choinkowe łańcuchy. Ambicją każdego z nas było zrobienie jak najdłuższego łańcucha, ale i tak potem łączono je w jedną całość. W sklepie kupowaliśmy także główki Mikołaja i aniołów, które dokleiliśmy do ich postaci wykonywanych przez nas z marszczonego papieru. Po umocowaniu pętelki już można je było zawiesić na choince. Mikołaja wypiekano także z piernikowego ciasta, on również miał doklejoną główkę. Następnie malowaliśmy orzechy na złoto. Po wbiciu w nie małych gwoździków z doczepionymi pętelkami także nadawały się do zawieszenia na drzewku. Choinka dekorowana była też pięknymi czerwonymi jabłkami, które wybierano dwa dni przed Wigilią.

W domu mieliśmy dużą szopkę, zwaną betlejką, noszoną za dwa uchwyty, wykonaną samodzielnie z desek i oklejoną kolorowym papierem. Rokrocznie zmieniano jej wystrój. Wpierw wyklejano ją wewnątrz i zewnątrz kolorowym papierem, a potem wycinano postacie z kartonu i umieszczano w środku w określonym porządku. Betlejka początkowo oświetlana była od wewnątrz świecą, później instalowano w niej żarówki i baterie.

W południe wigilijnego dnia ojciec przynosił do starannie wysprzątanego pokoju wysoką aż pod sufit choinkę, osadzoną na krzyżaku. Ubierała ją mama z pomocą dzieci, a na koniec ustawiano pod choinką betlejkę. Na choince umieszczano woskowe kolorowe świeczki, osadzone na żabkach mocujących, zaś jako ozdoby wie-

szano szklane bombki, ozdoby czekoladowe, czerwone jabłka, orzechy włoskie pomalowane na kolor złoty lub srebrny, ciastka, wycinanki, Mikołaje oraz aniołki z piernika i łańcuchy układane na końcach gałęzi, wykonane przez dzieci ze słomek i kolorowego papieru. Dla najmłodszych to już był początek świąt, teraz wycze-kiwano tylko pierwszej gwiazdki. Starsi przygotowywali tymcza-sem stół do wieczerzy wigilijnej. Starano się w miarę możliwości zachować – ku ucieście dzieci – tradycje kresowe, a więc rozrzucono luzem po podłodze słomę, tzw. dziaduch, na pamiątkę stajenki, pod obrus na stole wkładano siano, zaś w kącie stał snop dorodnego zboża na znak dobrych zbiorów.

Na Kresach istniała określona tradycja łamania się opłatkiem. Gospodarz dzielił go na tyle kawałków, ilu było domowni-ków. Na każdym kawałku umieszczał porcję gęstego miodu (aby się nie rozlewał) i układał to na talerzyku. Uroczystość wigilijną rozpo-czynano zapaleniem świecy i odmówieniem wspólnej modlitwy. Następnie najstarszy członek rodziny obchodził wszystkich, dzieląc się opłatkiem i składając życzenia kończone słowami: „Ażebyśmy się spotkali w tym samym składzie w przyszłym roku”. Każdy z domowników przyjmował swoją porcję opłatka i składał wzajemne życzenia, dołączając zawsze wiele ciepłych słów.

Jako pierwsze i najważniejsze danie pojawiała się na stole kutia, związana wyłącznie z tymi świątami i spożywana jedynie raz w roku. Najbardziej lubiana i oczekiwana była przez dzieci. Podawano ją również na rusińskiej Wigilii, należy więc przypuszczać, że była to potrawa ogólnokresowa. Kutia składała się z odpowiednio spreparowanej pszenicy (nazywaną ją tu opychaną), utartego w ma-kutrze (dużej misce stożkowej z wypalanej gliny) maku, miodu i bakalii. W niektórych domach wykorzystywana była do wróżb: rzu-cano ją z łyżki w górę, tak aby przykleiła się do sufitu. Jeśli to się powiodło, rok miał być pomyślny, a jeśli spadła, czekało nieszczę-ście. Następnymi daniami były w kolejności: czerwony postny barszcz, uszka z grzybami, pierogi z kapustą, ryba smażona i w ga-larecie oraz kompot z suszu. Podczas kolacji wigilijnej nie podawano alkoholu w żadnej postaci. Po wieczerzy dzieci kładły się na

podłodze przed betlejką z kantyczką (zbiór kołęd) w rękę i rozpoczęły śpiewać, w czym pomagali starsi.

W wigilijny wieczór wspominano powstańców z 1863 roku i sybiraków, którzy z woli cara musieli święta spędzać z dala od rodzin lub opowiadano o przypadkach ucieczek z katorgi, gdy zesłańcy po ciężkich trudach, wędrując przez śniegi i tajgę, trafiali do domu w chwili rozpoczynającej się Wigilii. Tematy te omawiane były przed świętami w szkołach, a także opisywane w dwutygodniku dla dzieci młodszych „Płomyczek” i starszych „Płomyk”.

Przed północą cała rodzina przygotowywała się do uczestnictwa w pasterce. Zgodnie z ludową tradycją, udział w niej zapewniał zdrowie i szczęście w całym nadchodzącym roku. W drodze na mszę słyszano się wesołe rozmowy i skrzypienie śniegu pod butami. Dzieci po wejściu do kościoła kierowały się od razu do szopki ustawionej przy bocznym lewym ołtarzu św. Rozalii. Miała wygląd stajenki pokrytej słomianym dachem. Pasterka rozpoczynała się chóralnym odśpiewaniem przez wszystkich zgromadzonych kołedy „Wśród nocnej ciszy...”.

Wigilia była świętem ściśle rodzinnym, na które nie zapraszano dalszej rodziny ani znajomych. Przychodzili oni dopiero w pierwszy i drugi dzień Bożego Narodzenia. Podawano wówczas wędlinę, studeniec z nówek wieprzowych i gołąbki – najczęściej z ryżem i pokrojoną wieprzowiną.

W Monasterzyskach na święta bardzo często kupowano polówkę lub ćwiartkę świniaka i przygotowywano wyroby według domowej receptury. Zapraszano specjalistę, który dzielił zakupioną część i sporządzał standardowe produkty. Przede wszystkim wydzielano szynkę z kością, z pozostałości wyrabiano domową kiełbasę, wydzielano też kawałki na pieczone, zaś słonina po przetopieniu stanowiła podstawowy tłuszcz dla potrzeb kuchni. Szynkę preparowano według ówczesnych przepisów, a więc peklowano, potem wędzono u znajomych rzeźników lub pieczono w cieście w piecu chlebowym. Niejednokrotnie wyroby te przygotowywano na pewien okres przed świętami, wówczas szynkę i wędliny wieszano na strychu, gdzie dojrzewały. Podczas świąt szynka stała na dużym

półmisku, skąd odkrawano potrzebną ilość plastrów i umieszczano na mniejszym półmisku.

Z Bożym Narodzeniem związani są kolędnicy. Były to grupy chłopców i mężczyzn odwiedzających domy, poczynając od wieczoru pierwszego dnia świąt (w Wigilię nie chodzono). Śpiewali kolędy i wygłaszali wierszowane oracje. Jedni chodzili po domach w składzie dwu- lub trzysobowym z betlejką i śpiewali „Do szopki hej, pasterze” lub „Wśród nocnej ciszy”, a na koniec składali życzenia. W grupach wieloosobowych odwiedzali wiernych z gwiazdą, Herodem i Żydem. Kolorowa gwiazda miała osiem ramion, od środka była najczęściej oświetlona i kręcona na osi poziomej osadzonej na pionowym drążku. Skład przebierańców zależał od liczby uczestników tego przedstawienia. Najczęściej byli to: Herod, Żyd, diabeł, królowie i oczywiście pastuszkowie. Wchodząc do domu, członkowie grupy zaczynali od kolędy „Wśród nocnej ciszy”, a potem wygłaszali kwestie związane nie tylko z życiem Chrystusa. Często były one bardzo dowcipne, toteż domownicy mieli wiele uciechy. Na koniec składano gospodarzom życzenia. Każdorazowo kolędnicy otrzymywali drobne datki pieniężne. Wizyty takie składano aż do Trzech Króli.

Siostry zakonne z ochronki przy ul. 3 Maja przygotowywały z dziećmi podopiecznymi oraz uczniami ze szkoły jasełka, czyli widowisko przedstawiające sceny narodzin Chrystusa. Wystawiano je najczęściej w Domu Sokoła lub w kościele z udziałem licznej widowni składającej się z rodziców, dzieci i młodzieży.

Drugi dzień świąt poświęcony był św. Szczepanowi, pierwszemu, ukamienowanemu męczennikowi chrześcijańskiemu. 27 grudnia, w dzień św. Jana Apostoła, w kościele odbywało się święcenie wina i był to jedyny dzień w roku, gdy wiernym podawano w tej postaci krew Pana Jezusa. Po świątach ksiądz odwiedzał wiernych z kolędą, zaś w ostatni dzień starego roku odprawiano wieczorem mszę, podczas której składano roczne sprawozdanie parafialne.

W czasie okupacji niemieckiej kolędowanie odbywało się w sposób dość niezwykły. Otóż na ulicy, podczas spotkań znajomych, nucono sobie kolędy wojenne dla podtrzymania ducha. Dla miesz-

kańców Kresów Wschodnich, którzy mieli trzech wrogów: Sowie-
tów, Niemców i ukraińskich nacjonalistów, słowa tych piosenek
przynosiły nadzieję na szybszą wolność. Oto jedna z nich, niezna-
nego autora, śpiewana na melodię „Dzisiaj w Betlejem”:

Dzisiaj w Londynie (bis)
Wesoła nowina.
Tysiąc bombowców (bis)
Leci do Berlina.
Berlin się pali, Hamburg się wali.
Duce ucieka, Hitler się wścieka.
Bolszewicy grają, Polacy śpiewają,
Wolną Polskę ogłaszają.

Zapamiętałem zdarzenie ze stycznia 1943 roku, gdy z moimi
rodzicami wracałem wieczorem z Marią Góralowską od rodziny z
Folwark. Przy pożegnaniu pod naszym domem przy ul. Jagielloń-
skiej po cichu śpiewano tę niby-kolędę.

Aż nadszedł ostatni dzień roku zwany sylwestrem. Radosny,
bo kończył się stary rok, a nowy przynosił nadzieję na lepszy. Dzień
radości i zabaw. Wielka miejska zabawa organizowana była w Do-
mu Urzędniczym, a przygrywała do tańca orkiestra Góralowskiego.
Pozostali bawili się przy dźwiękach muzyki płynącej z czarnych
krążków odtwarzanych na gramofonach lub patefonach.

* * *

Dziś, po wielu latach od tamtych chwil, uważam, że należy
się podziękowanie naszym rodzicom, którzy choć nie byli zbyt wy-
kształceni, bo było to małe miasteczko, a ponadto mieszkańcy po-
nieśli duże straty podczas I wojny światowej, potrafili zaszczerpić w
nas patriotyzm i kult tradycji kresowych. Wielki wkład w nasze
wychowanie wnieśli także nauczyciele, którzy z poświęceniem
kształtowali młode umysły. Po odzyskaniu niepodległości wszyscy
w ramach stowarzyszeń społecznych i patriotycznych włączyli się
w pracę na rzecz rozwoju gospodarczego i kulturalnego tych ziem.

Po drugiej wojnie światowej, mimo licznych trudności, wielu z nas zdobyło nie tylko wyższe wykształcenie, ale piastowało również wysokie stanowiska w administracji państwowej. Niestety, po przymusowej ekspatriacji mieszkańców z Kresów i ich rozproszeniu, z biegiem lat ich potomkowie zatracili tradycje naszej ziemi ojczyznej, jaką było Podole.

Spisane powyżej wydarzenia z lat młodości przeżyłem w moim domu rodzinnym i mieście Monasterzyskach. Wiele przypomnieli mi też moi kresowi rodacy podczas wspomnień o tamtych latach. Mam nadzieję, że inni zapamiętali te czasy podobnie. Chciałbym też, ażeby nastroiło to byłych Kresowian do chwili refleksji i zadumy.

Igor Megger
Poznań

Uzupełnienie do artykułu na temat akcji likwidacyjnych AK w Czortkowie

W numerze 150 „Głosów” z 2018 roku ukazał się mój artykuł na temat akcji likwidacyjnych czortkowskiego AK. W zbiorach po ŚP Irenie Kotowicz, które redakcja otrzymała w lipcu br., znalazłem kilka informacji, które warto dodać.

- 1) Znalazła się tam niepodpisana lista z nagłówkiem „Wykaz zbrodniarzy hitlerowskich pełniących służbę w Gestapo w Czortkowie”, która zawiera 22 nazwiska, w większości niepublikowane. Niepublikowane dotychczas były: Kobler, Lucinius, Stephan, Kruger⁷, Gafka Otto⁸, Kunsbeck Marian (Ślązak), Kalmayer (chodził po cywilnemu), Szyld (był

⁷ Miał kochankę Ukrainkę na ul. Szkolnej.

⁸ Blondyn, nauczyciel języka niemieckiego w gimnazjum.

-
- wiekowy), Hans Kujath (starosta)⁹, Kimpert i Kalmayer (obaj rzeźnicy z Torunia), Trau, Paul Heise (Berlin).
- 2) Pada na tej liście wspomniane już nazwisko Kamiński z opisem, że był ze Stanisławowa, oraz Martin, który był wysokim garbusem.
 - 3) Wanda Cz., która spotykała się z F. Radke, była po wojnie widziana na Śląsku – dopisek p. Kotowicz na rękopisie mojego artykułu, wraz z podaniem jej nazwiska.
 - 4) Zamach na Rybaka: według notatki, sporządzonej na spotkaniu byłych członków Kedywu w 1990 roku, Rybak był klucznikiem więzienia i przeżył zamach, po którym zmienił na lepsze nastawienie do Polaków.
 - 5) Zamachu na F. Radkego, według wyżej wspomnianej notatki, dokonano nie w październiku, a we wrześniu 1943. Wykonano go w ostatnim dniu 30-dniowego okresu wyznaczonego na tę akcję.
 - 6) Według wyżej wspomnianego źródła zamach na Von Iselta odbył się 21 stycznia 1944 roku.
 - 7) Józefa Solarska („Ina”) zmarła około 1992 roku.

Jerzy Miller
Poznań

Zapomniani pisarze z Podola

Cz. I – Antonina Domańska (1853–1917)

Antonina Domańska z Kremerów urodziła się w 1853 roku w Kamieńcu Podolskim. Całe dorosłe życie związała z Krakowem, w którym rodzina Kremerów była znaczącym rodem. W 1874 roku Antonina Kremerówna została żoną dr. Stanisława Domańskiego – profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Antonina Domańska uważana jest za pierwowzór radczyni w „Weselu” Wyspiańskiego. I

⁹ Hans Kujath zmarł w 1963 roku w zachodnich Niemczech. Nigdy nieskazany, po wojnie był prawnikiem, tak samo jak jego poprzednik na stanowisku starosty Gerhard Littschwager (1907–2001) –przyp. I.M.

choć nie osiągnęła sławy swojego słynnego przyjaciela, to zacyła wiele w środowisku intelektualnym i artystycznym ówczesnego Krakowa. Od 1896 roku Państwo Domańscy mieszkali w podkrakowskiej Rudawie, gdzie obecnie jest patronką ulicy.



Swoją twórczość artystyczną skierowała głównie do dzieci i młodzieży. To właśnie między innymi bogata twórczość A. Domańskiej kształtowała świadomość historyczną młodych Polaków pod zaborami. Szczególnie skupiała się tematycznie wokół historii Polski. W 1913 roku w poznańskiej Księgarni św. Wojciecha wydano jej najbardziej znaną książkę „Historia żółtej cizemki”. Obok tej najpopularniejszej książki wśród jej dzieł wymienić należy takie jak „Paziowie króla Zygmunta”, „Trzaska i zbroja”, „Krysia Bezimienna”, zbiór baśni „Przy kominku”, nowele: „Siostra Hanna”, „Żona ułana”, „Panienska ze dwora” i wiele innych.

To właśnie A. Domańska docierała do rzeszy najmłodszych polskich czytelników z emocjonalną legendą, prawdą o dumnych latach naszej historii, którą późniejszy historyk z Krakowa Feliks Konieczny będzie kontynuował w swojej kapitalnej pozycji „Dzieje Polski opowiedziane dla młodzieży”.

Antonina Domańska zmarła w rok po swoim mężu, 26 stycznia 1917 roku w Krakowie i tam została pochowana.



Marek Szpytko
Poznań

Wędrowniki po Kresach – Podole (cz. III)

Kontynuując opowieść o miejscach i ludziach, zapraszam Państwa na południowy wschód od Tarnopola do PODHAJEC – miejsca pamiętnych wydarzeń historycznych i bardzo cennych zabytków położonych nad pięknym Koropcem.

W XV w. właściciel miasteczka Michał Buczacki zbudował w nim pierwszy zamek, który rozbudowany na początku XVII w. przez wojewodę ruskiego Stanisława Golskiego zamieniony został w fortecę. Swą świetność miasteczko zawdzięcza jednak nowemu właścicielowi Stanisławowi „Rewerze” Potockiemu (1579–1667), hetmanowi wielkiemu koronnemu, który wzmocnił zamek, a cztery dzielnice otoczył murem.

W historii Polski Podhajce swą chwałę zapisały wieloma bitwami (głównie z Tatarami i Turkami), a zwłaszcza dwoma: pierwszą stoczył w 1667 r. hetman polny koronny Jan Sobieski (1629–1696) z armią kozacko-tatarską, siedmiokrotnie przewyższającą liczebność wojsk polskich, a drugą w 1698 r., również zwycięską z Tatarami (15 tys. żołnierzy), właściciel Podhajec hetman polny koronny Szczęsny Potocki na czele zaledwie 5-tysięcznego zgrupowania wojsk polskich.

W miasteczku tym urodził się wybitny polski aktor Tadeusz Łomnicki (1927–1992) współpracujący z najlepszymi polskimi scenami. Zmarł na deskach Teatru Nowego w Poznaniu podczas prób do sztuki „Król Lear”. W Podhajcach urodził się również jego brat Jan Łomnicki (1929–2002) – reżyser między innymi serialu telewizyjnego „Dom”.

Dużą grupę Podolan stanowią wybitni uczeni, a między innymi archeolog i egiptolog Kazimierz Michałowski oraz filozof i logik Kazimierz Ajdukiewicz (1890–1963), student i wykładowca Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a w latach 1948–1952

wykladowca i rektor Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu – obaj urodzeni w TARNOPOLU.

To 40-tysięczne miasto (dane z 1939 r.) zostało ulokowane na tzw. surowym korzeniu (1540 r.) przez króla Zygmunta Starego, a nazwę zawdzięcza hetmanowi wielkiemu koronnemu, kasztelanowi krakowskiemu, Janowi Tarnowskiemu (1488–1561). Hetman wzniósł zamek, miasto otoczył umocnieniami, a dla większego bezpieczeństwa spiętrzył rzekę Seret, tworząc wielki zalew. Z Podola pochodzą również najlepsi z najlepszych, polscy dowódcy wojskowi XX w.

Z uwagi na skromne łamy wymienię tylko kilka najbardziej znanych postaci: bohater wojny polsko-ukraińskiej gen. Bolesław Roja (1876–1940) odznaczony Orderem Virtuti Militari, urodzony w BRYŃCACH, gen. Franciszek Kleeberg (1888–1941) dowódca Samodzielnej Grupy Operacyjnej „Polesie”, na czele której stoczył ostatnią bitwę kampanii wrześniowej pod Kockiem urodzony w Tarnopolu, gen. Tadeusz „Bór” Komorowski (1895–1966) urodzony w CHROBROWIE, bohater wojny bolszewickiej w 1920 r., gen. Tadeusz Jordan Rozwadowski (1866–1928) odznaczony Orderem Virtuti Militari za obronę Lwowa urodzony w GLINNEJ. Na koniec szczególnie wspominać urodzonego w JAWOROWIE gen. Władysława Langiera (1897–1972) dowódcę obrony Lwowa w 1939 r. dwukrotnie odnanzonego Krzyżem Virtuti Militari urodzonego w SZCZERCU, gen. Stanisława Maczka (1892–1994) uczestnika wojny polsko-ukraińskiej, a od 1938 r. dowódcę 10 Brygady Kawalerii – pierwszej zmotoryzowanej jednostki Wojska Polskiego. Po zakończeniu kampanii wrześniowej brał udział w kampanii francuskiej jako dowódca I Dywizji Pancerniej i do 1945 r. walczył na frontach zachodnich II wojny światowej. Zmarł w Edynburgu w Szkocji.

W ZBARAŻU urodził się wybitny, polski działacz socjalistyczny Ignacy Daszyński, w BUCZACZU słynny tropiciel zbrodniarzy hitlerowskich Szymon Wiesenthal, a w najbliższym sąsiedztwie w BIELAWIŃCACH urodziła się światowej sławy ukraińska śpiewaczka operowa – Salomea Kruszelnicka.

W tym miejscu przepraszam wszystkich Czytelników „Wędrówek po Kresach” za niewymienienie setek znakomitych nazwisk osób wielu narodowości, które przez wieki żyły na Podolu i tu tworzyły polską państwowość. Cdn.

Anna Madej
Kraków

XXXIV Tarnopolski Zjazd Kresowian

Po rocznej przerwie, spowodowanej wszystkim nam już mocno uprzykrzoną koronawirusową pandemią, w dniach od 7 do 10 czerwca 2021 odbył się XXXIV już Zjazd tych, którzy mieszkali lub mają korzenie na Ziemi Tarnopolskiej, ale nie tylko, bo od 2017 zjazdy te przyjęły nazwę Tarnopolskich Zjazdów Kresowian i mają na celu integrowanie całego środowiska wygnańców z Kresów Południowo-Wschodnich. Zjazd odbył się w Głuchołazach u podnóża Gór Opawskich. Uczestnicy, którzy zjechali z różnych zakątków Polski w liczbie ponad czterdziestu, zostali zakwaterowani w przytulnym hotelu „Sudety” w zdrojowej części miasta. Mieliśmy bliźniętka do zdrojowego parku, na początku czerwca w pełnym rozkwicie różnorodnych krzewów i kwiatów, gdzie w wolnych chwilach można było pospacerować, czy w małych grupkach posiedzieć na ławeczkach i porozmawiać, powspominać.

Pierwszy dzień, poniedziałek, uczestnicy przyjeżdżają o różnych porach i są spontanicznie i z wielką serdecznością witani przez tych, którzy przyjechali przed nimi; oczywiście rozmowom nie ma końca!

Oficjalnie zjazd rozpoczął się we wtorek mszą św. w parafialnym kościele św. Wawrzyńca, ale oczywiście wcześniej zwiedziliśmy Głuchołazy. Miasto, na prawie flamandzkim, powstało prawdopodobnie dzięki odkryciu w okolicy złóż złota w XIII wieku i przez wiele lat nosiło niemiecką nazwę Ziegenhals (Kozia Szyja – ponoć od krętego biegu rzeki, obecnie zwanej Białą Głuchołaską). Po II wojnie światowej nazwa została zmieniona na Głuchołazy (z

czeskiego „hluché lázně”, co znaczy „puste uzdrowisko” – niestety, nie wiadomo dokładnie, dlaczego właśnie taka nazwa, ale przypomina o niej herb Głucholaz – Kozia Szyja). Złoto było wydobywane do końca XVII wieku, dzisiaj przechodząc Szlakiem Złotych Górników, można jeszcze napotkać pozostałości sztolni, szybów i innego wyposażenia górniczego.

W Głucholazach ciekawy jest Rynek z kamienicami o klasycystycznych fasadach (po pożarze z 1834 r.) i rosnąca tutaj podparta lipa (posadzona w 1648 r. jako „lipa pokoju” na zakończenie wojny 30-letniej). Lipa runęła w 1992 r., ale udało się ją tak zabezpieczyć, że ciągle żyje.

Głucholazy były miastem przygranicznym, do dzisiaj zachowały się średniowieczne fortyfikacje z Bramą Górną i mury obronne. Kościół św. Wawrzyńca wzniesiony został po lokacji miasta przez właściciela tych ziem, biskupa wrocławskiego Wawrzyńca. Spalony przez husytów w 1428 r., na bazie jednak zachowanych fragmentów (ściana zachodnia oraz wczesnogotycki portal z elementami romańskimi) odbudowany w 1442 r. W latach 1729–1731 kościół został przebudowany w stylu barokowym. Uwagę zwraca aż dziewięć ołtarzy, w tym neobarokowy ołtarz główny z figurą św. Wawrzyńca.

Po mszy św., sprawowanej w intencji zmarłych Tarnopolan przez przybyłego z Tarnopola ks. Andrzeja Maliga (tym razem przyjechał sam), udaliśmy się do głuchołaskiego Centrum Kultury, gdzie w pierw obejrzelśmy wystawę poświęconą historii zjazdów (główną „sprawczynią” tej wystawy była niezawodna Jasia Stadnik – organizatorka tegorocznego spotkania), następnie odbyła się okolicznościowa akademii, na którą przybyli przedstawiciele władz lokalnych, wśród nich burmistrz Głucholaz, burmistrz Nysy i burmistrz Brzegu nad Odrą. Każdy z nich w serdecznych słowach podzielił się z uczestnikami zjazdu, a także miejscowymi Kresowianami swoimi refleksjami na temat takich spotkań, jak nasz zjazd. Dla nas szczególnie radosną i ciekawą informację przekazał Jerzy Wrębiak – burmistrz Brzegu. Pan Burmistrz był gościem krakowskiego Zjazdu Tarnopolan w 2017 r. Wtedy opowiadał o staraniach

władz Brzegu o utworzenie w tym mieście Muzeum Kresowego, którego zadaniem byłoby kultywowanie historii i kultury Kresów oraz dokumentowanie losów mieszkańców dawnych ziem Rzeczypospolitej. Uczestnicy tamtego zjazdu gorąco poparli tę ideę, ale nie tylko oni – różne środowiska kresowe w kraju też potwierdzały potrzebę utworzenia takiej placówki. Niestety, lata mijały, nic się w tej sprawie nie działo, ale kropla drąży skałę... i na tegorocznym zjeździe Pan Burmistrz mógł ogłosić, że 30 kwietnia 2021 r. podpisano list intencyjny o przekazaniu gmachu dawnego gimnazjum piastowskiego (w pobliżu Zamku Piastów Śląskich) na działalność Muzeum Dziedzictwa i Kultury Kresów. Muzeum to byłoby oddziałem miejscowego Muzeum Piastów Śląskich, a finansowanie tego projektu zostało zagwarantowane przez rząd. Pan Minister Kultury Piotr Gliński potwierdził to na piśmie!

Gdy skończyła się część oficjalna, przyszedł czas na występy artystyczne. Polska powiatowa nie musiała się wstydzić swoich artystów amatorów, czy to śpiewających, czy tańczących. Miło było ich słuchać i oglądać, szczególnie urzekły nas „Stokrotki 50+” z Nysy. Tyle werwy i wdzięku w tych paniach po pięćdziesiątce!

Zakończyliśmy to spotkanie wspólnym śpiewaniem kresowych piosenek i wspólnym zdjęciem. Wracając do hotelu, złożyliśmy jeszcze kwiaty pod pomnikiem wystawionym w 1998 r. przez społeczeństwo Głucholaz Weteranom Walk o Niepodległość Rzeczypospolitej Polskiej.

Kolejny dzień zjazdu upłynął pod znakiem wycieczek. Przed południem pojechaliśmy do Prudnika, by zwiedzić klasztor oo. Franciszkanów – miejsce uwięzienia ks. Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Z „Zapisków więziennych” ks. Kardynała wyłania się bardzo ponury obraz tego lokum. Teraz, po remontach i uporządkowaniu terenu, jest to miejsce wyciszenia dla przychodzących tu pątników. Szczególnie ich tu dużo w tym roku – roku beatyfikacji Prymasa Tysiąclecia.

Wracając na obiad w naszym hotelu, dość pobieżnie oglądaliśmy centrum Prudnika, a po posiłku ruszyliśmy do Nysy. Wydawałoby się, że podczas trzech zjazdów w Nysie zobaczyliśmy w

tym mieście już wszystko. Niewielu z nas zdawało sobie sprawę, że Nysa, jako miasto przygraniczne, ma tak rozbudowany system fortyfikacji. Obiekty Twierdzy Nysa razem z Parkiem Kulturowo-Przyrodniczym zajmują obszar około 230 ha! Nawet ci, którzy nie interesują się takimi obiektami, byli pod wrażeniem.



Środa była bogata w atrakcje. Po powrocie z Twierdzy Nysa spędziliśmy bardzo miły wieczór przy ognisku i pieczeniu kiełbasek, oczywiście były rozmowy, żarty i wspólne śpiewanie. Mamy na naszych zjazdach taką własną „silną grupę śpiewaczą”, która i tym razem (wspomagana przez miejscowego gitarzystę) spisała się na medal. A że noc czerwcową długa i ciepła, nikt nie myślał o tym, że jutro ostatni dzień zjazdu, że trzeba będzie sobie powiedzieć „do widzenia, do miłego zobaczenia”. Niestety, taka chwila nadeszła. Podsumowaliśmy zjazd jako bardzo udany (mimo koronawirusowych obostrzeń i jednak najniższej frekwencji w historii naszych spotkań). Podziękowaliśmy dzielnej Jasi Stadnik, że w tak trudnych warunkach zdecydowała, że zjazd się odbędzie i go (prawie sama) zorganizowała! No i nikt nie sprzeciwił się temu, żeby XXXV Tarnopolski Zjazd Kresowian odbył się w... Tarnopolu!



*Hanna Gudowska
Warszawa*

Wspomnienie o moim Ojcu Kazimierzu Straszewskim



Mój Ojciec Kazimierz Ryszard Straszewski urodził się 95 lat temu, 1 marca 1926 roku we wsi Widynów w powiecie śniatyńskim województwa stanisławowskiego. W maju tegoż roku rodzina Ojca przeprowadziła się do Borszczowa w woj. tarnopolskim, gdzie Jego ojciec został zawiadowcą stacji kolejowej. W Borszczowie Ojciec mój uczęszczał do szkoły powszechnej i gimnazjum, a za pierwszych Sowieców do ukraińskiej szkoły średniej.

W Borszczowie spędził też okupację niemiecką, pracując m.in. w zakładzie uprawy tytoniu. Był także uczestnikiem tajnych kompletów. Po zajęciu Borszczowa przez Sowieców pracował na stacji kolejowej, by później wstąpić w szeregi polskiej armii. 8 maja 1944 roku został zmobilizowany i trafił do I Armii Wojska Polskiego. Znalazł się w 2 szkolnym pułku łączności formowanym w miejscowości Lewków koło Żytomierza. W styczniu 1945 roku ukończył Oficerską Szkołę Wojsk Łączności w Lublinie oraz otrzymał stopień chorążego. Po ukończeniu szkoły został dowódcą plutonu w 32 Samodzielnej Kompanii Budowy i Eksploracji Telegraficznych Napowietrznych Linii Łączności. W szeregach tej kompanii brał

udział w wyzwaniu Warszawy, Katowic, północnego rejonu Wrocławia oraz uczestniczył w operacji berlińskiej.

Po zakończeniu działań wojennych do 1955 roku służył w armii w pionie łączności na różnych szczeblach. W tym czasie ukończył średnią szkołę, zdał maturę oraz skończył studia na Politechnice Warszawskiej, uzyskując tytuł inżyniera łączności.

Wyróżniony był wieloma odznaczeniami państwowymi, wojskowymi i resortowymi, w tym Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Na emeryturze aktywny w środowisku kombatanckim, był prezesem koła nr 8 związku kombatanów na Mokotowie oraz członkiem Zarządu Okręgu Warszawskiego. Członek Klubu „Podole” przy stołecznym TMLiKPW. Wieloletni prenumerator „Głosów Podolan”, autor artykułów wspomnieniowych dotyczących Borszczowa i Jego szlaku wojennego¹⁰. Był też zapalonym działkowcem.

W 1951 roku zawarł związek małżeński z Heleną Grzelak, z którego miał dwie córki i troje wnuków.

Mój Tata swoje pracowite i długie życie zakończył 14 kwietnia 2017 roku. Pochowany został na Cmentarzu Północnym w Warszawie.

Był człowiekiem szlachetnym, uczciwym i bardzo dobrym. Bardzo kochał swoją rodzinę: rodziców, żonę, dzieci i wnuki. Był naszym autorytetem i wzorem do naśladowania. Całe swoje życie wspominał Podole, gdzie promienie słońca były jaśniejsze i dawały więcej ciepła niż w innych miejscach Jego życia, a winogrona były najśodsze.

Od redakcji: Dziękujemy bardzo p. Hannie Gudowskiej za przekazaną literaturę dot. Kresów ze zbiorów jej Ś.P. Ojca. Przekazane pozycje zasiliły naszą oddziałową kresową biblioteczkę.

¹⁰ Swoje młode lata oraz przeżycia wojenne K. Straszewski opisał w następujących numerach „Głosów Podolan”: 3, 9, 10, 20, 24, 30, 35, 52, 64.

*Igor Megger
Poznań*

XXIV Dni Lwowa w Poznaniu to już historia

Dni Lwowa są obok zbiórki darów dla Polaków na Wschodzie sztandarową imprezą organizowaną przez poznański Oddział TMLiKPW. Dni Lwowa są rozciągniętym w czasie cyklem wydażeń przybliżających szerszej publiczności piękno Kresów Południowo-Wschodnich, ich historię (także tę tragiczną) oraz sylwetki postaci z nimi związanych. Trudno na ograniczonych łamach „Głósów” opisać tę imprezę szeroko – dlatego przedstawię ją w skrócie.



Stoiska kresowe w czasie pikniku na Starym Rynku

Piknik kresowy na Starym Rynku w Poznaniu zawsze jest imprezą najważniejszą Dni Lwowa. W tym roku odbył się 6 czerwca. W czasie pikniku wystąpili: orkiestra reprezentacyjna Sił Powietrznych WP, nasze drogie „Tyliгентne Batiary” z Bytomia oraz Paweł Kuleszewicz z „Kabaretem z Woźnej”. Na pikniku pod namiotem znajdowały się nasze stoiska z literaturą, z informacjami o

naszym towarzystwie oraz stoisko „Odkryj swoje korzenie”, na którym chętni mogli dowiedzieć się więcej o Kresach. Piknik cieszył się dużą popularnością – pogoda dopisała. Prócz mieszkańców Poznania odwiedzili nas przyjaciele z „Głogowskiej Edukacji Kresowej” oraz z poznańskiego Oddziału Towarzystwa Miłośników Wilna.

W październiku na nasze zaproszenie przyjechała ze Lwowa na blisko tydzień grupka działaczek polonijnych. Były to Panie: Teresa Dutkiewicz z Federacji Polskich Rodzin na Ukrainie, redaktorka kwartalnika „Nasze Drogi”, Stanisława Nowosad – lwowska poetka, oraz Halina Makowska – kustosz pamięci Lwowa, zaangażowana w odzyskanie kościoła św. Marii Magdaleny. Panie zwiedzały Poznań, spotykały się z członkami naszego towarzystwa, z władzami miasta oraz brały udział w otwarciu wystawy fotografii prof. Cypriana i w Dniu Jedności Kresowian. Dzięki dotacji wydaliśmy tomik wierszy S. Nowosad pt. „Polska to najpiękniejsze słowo świata” – jeden z wierszy z tomiku publikujemy.



Spotkanie gości ze Lwowa z poznańskimi Kresowiakami w siedzibie Oddziału TML. W środku siedzi Teresa Dutkiewicz – laureatka nagrody „Semper Fidelis” w 2021 roku.

Dzień Jedności Kresowian uczciliśmy 4 października mszą świętą w intencji Kresowian w kościele na Śródce; odprawił ją zaprzyjaźniony z nami ks. Jan Stanisławski. Po mszy zgromadzeni zebrali się w parafialnej salce na spotkaniu, w trakcie którego statuetkę „Semper Fidelis” wręczono Teresie Dutkiewicz. W laudacji podkreślono wieloletnie działanie wyróżnionej na rzecz odrodzenia kultury polskiej na terenie Ukrainy. Spotkanie połączone było ze śpiewem, wspomnieniami i poczęstunkiem. Prócz naszego towarzystwa udział w spotkaniu wzięli także Wilniuchy, sybiracy i przedstawiciele innych zaprzyjaźnionych organizacji.



Otwarcie wystawy fotografii prof. Cypriana

Wspominana już wyżej wystawa fotografii prof. Tadeusza Cypriana zagościła w październiku na Wydziale Prawa poznańskiego uniwersytetu. Przedstawia ona kilkadziesiąt nieznanych fotografii wykonanych przez prof. Cypriana w czasie pierwszej wojny we Francji w ośrodku formowania armii gen. Hallera. Autorem wystawy jest p. Robert André, prezes koła fotograficznego im. prof. Cypriana w Kole. 6 października w dniu otwarcia wystawy zgroma-

dzeni mogli wysłuchać dwóch wykładów o prof. Cyprianie – Moniki Piotrowskiej, autorki biografii profesora, oraz karnisty – prof. Pawła Wilińskiego. Współorganizatorem wydarzenia oprócz naszego towarzystwa był wydział prawa UAM.

Postać profesora Cypriana jest warta przypomnienia. Urodził się on w 1898 roku w Zabłotowie k. Śniatyna w woj. stanisławowskim. Absolwent UJK, prawnik, sędzia. W czasie wojny, zarówno pierwszej, jak i drugiej, służył w lotnictwie. Po II wojnie był jednym z czterech polskich przedstawicieli w czasie procesu norymberskiego. Profesor poznańskiego uniwersytetu, autor wielu prawniczych publikacji. Jednak postać jego jest bardziej znana od strony jego działalności hobbystycznej – fotografii. Jest on jednym z najbardziej cenionych polskich fotografów, autorem słynnego, wielokrotnie wznawianego, podręcznika do fotografii. W Poznaniu zamieszkał już przed wojną i z przerwą wojenną mieszkał tu aż do śmierci w 1979 roku.

Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Północno-Wschodnich



Numer 1 (121) Rok 33 Odciał w Poznaniu sierpień-grudzień 2021

Wydanie specjalne

CZERWIEC 1956

OCZAMI POZNAŃSKICH KRESOWIAN



Przebieg Kresu na Pl. Świętych, Warszawa - Józef J. Kubiński

Adres redakcji: CK „ASHEK” ul. 2000 Bractwa w Św. Marcinie 80/82 p. 13A 60-100 poznań
 Drukarnia: Drukarnia „ASHEK” ul. 2000 Bractwa w Św. Marcinie 80/82 p. 13A 60-100 poznań
 Tel. kontaktowy: 061 262 2027 2000 1302 1303 1304
 www.ashek.org.pl

Wydawca: Drukarnia „ASHEK” ul. 2000 Bractwa w Św. Marcinie 80/82 p. 13A 60-100 poznań

W ramach pozyskanych dotacji na rzecz Dni Lwowa, prócz wymienionego już wyżej tomiku wierszy p. Nowosad, dofinansowano także 154 numer „Głosów” oraz wydawnictwo pt. „Udział Kresowian w poznańskim czerwcu '56”.

W wydawnictwie tym zamieszczono kilkanaście relacji naszych członków z tamtego okresu, rys historyczny wydarzeń oraz sylwetki osób z całych Kresów związanych z tamtym pamiętnym dla Poznania dniem. 11 lipca zorganizowali-

śmy uroczystości upamiętniające ludobójstwo dokonane przez OUN-UPA; wydarzenie to opisaliśmy w poprzednim numerze „Głosów”. Prócz tego delegacja nasza brała aktywny udział w miejskich uroczystościach związanych z datą 17 września.

Pomimo ograniczeń pandemicznych, XXIV Dni Lwowa należy uznać za bardzo udane i otwarte – każdy mógł znaleźć w nich coś dla siebie. Nie mogłyby się one odbyć, gdyby nie dotacje Urzę-

du Miejskiego i Urzędu Marszałkowskiego w Poznaniu. Przyjazd szanownych gości natomiast współfinansowała organizacja „Odra – Niemen”. Jednak środki finansowe to nie wszystko, podkreślić należy ogrom pracy włożonej przez naszych działaczy. Podziękowania należą się blisko dziesięcioosobowej grupie naszych członków, na którą spadł ciężar organizacyjny i realizacja, natomiast szczególne podziękowania należą się naszej prezes Katarzynie Kwineckiej, która była często nie tylko pomysłodawcą, ale też organizatorką wydarzeń; w każdym brała najaktywniejszy z nas wszystkich udział.

*Stanisława Nowosad
Lwów*

Nikogo nie obchodzi

*Co bym w sercu, myśli nie miała
O ukochanym Lwowskim Grodzie,
Co bym o nim nie napisała,
Nic to nikogo nie obchodzi.*

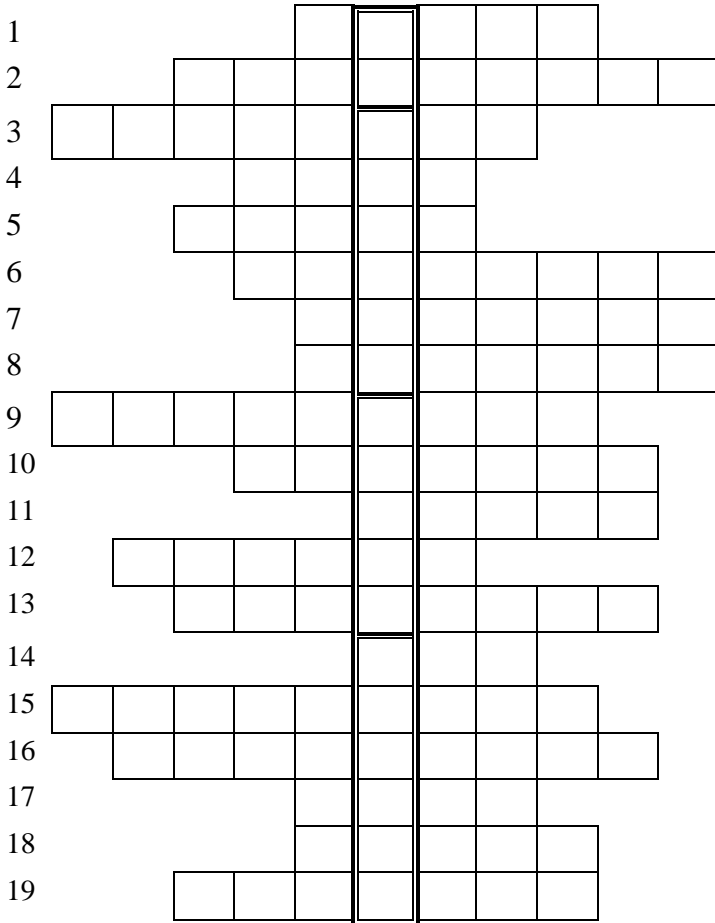
*Dziedzictwo, które czas roztrwoni
Dobitnie o Polsce dowodzi.
Legendą Lwowską jak dzwon dzwoni,
Dziś już nikogo nie obchodzi.*

*Gdy głód polskości duszę zżera,
I jak nocny puszczycz zawodzi,
Gdy serce w tęsknocie zamiera
Nic tu nikogo nie obchodzi.*

*Co obca przemoc nam wydarła
I dalej kłamliwie przewodzi,
Historii prawda gdzieś zamarła
I to nikogo nie obchodzi.*

 Redakcja

Krzyżówka podolska



1. Wyznawca Kościoła greckokatolickiego. **2.** ... ze Zbrucza – słynny obelisk słowiański. **3.** Imię p. Siekierki, zmarłego w bieżącym roku strażnika pamięci Kresów. **4.** Pseudonim dowódcy pułku KOP w Czortkowie, późniejszego dowódcy AK. **5.** Miasto w woj. tarnopolskim zwane „stolicą Żydów”. **6.** Gród rodzinny Ireny Ko-

towicz, O. Reginalda i Jerzego Janickiego. **7.** Miejsce urodzenia króla Jana III Sobieskiego. **8.** Miasto na Podolu, gdzie na emeryturze posługę pełnił ks. Ludwik Rutyna. **9.** Nazwa wzgórz wapiennych przebiegających przez woj. tarnopolskie. **10.** Najważniejsza rzeka Podola – wpada do Morza Czarnego. **11.** Z hodowli tego kulistego owocu słynęły Zaleszczyki. **12.** Przydomek marszałka rodem z Brzeżan. **13.** Wieś w pow. borszczowskim ze słynnymi gipsowymi grotami. **14.** U Polski bram, straż trzymać miał. **15.** Huta, wieś w pow. brodzkim, zrównana przez UPA z ziemią w roku 1944. **16.** Obecnie Bużańska a dawniej? **17.** I Złota, i Zgniła przepływa przez Podole. **18.** Nad nim i Tarnopol, i Czortków. **19.** Nazwisko legendarnego biskupa ze Złoczowa.

Hasło jest nazwą oraz pierwszymi słowami ludowej piosenki z Podola. Rozwiązanie prosimy podawać telefonicznie (728-252-793) do **1 lutego 2022 roku**. Losowanie zwycięzcy odbędzie się w lutym na posiedzeniu zarządu Oddziału Poznańskiego TML. Nazwisko laureata i odpowiedzi podamy w następnym numerze „Głosów”. Do wygrania pięknie wydana książka – album Normana Daviesa – „Szlak nadziei” o armii gen. Andersa.

Od redakcji

Szanowni Państwo, udało nam się wydać ostatni numer z roku 2021 w terminie pomimo początkowych opóźnień. Jest to naszym zdaniem sukces, gdyż napotykałszy na wiele trudności, ale wszystkie przezwyciężyliśmy. Była to także i Państwa zasługa z powodu terminowości wpłat oraz dzięki ciekawym nadesłanym materiałom. Koszt czasopisma oraz numer konta na rok 2022 pozostaje bez zmian, tj. 50 zł. W roku tym ukażą się cztery numery kwartalnika oraz w miarę możliwości numery specjalne – bardzo zaawansowane są prace nad numerem o policjantach województwa tarnopolskiego oraz – jeśli starczy skromnej przecież redakcji sił – planujemy przygotować także coś specjalnego o Czortkowie; w 2022 roku przypada 500 rocznica nadania mu praw miejskich.

Zachęcamy nadal Czytelników do przesyłania materiałów do publikacji, szczególnie relacji i wspomnień. Przypominamy, że jesteście Państwo OSTATNIMI świadkami polskiego życia na Podolu – czy nie szkoda, żeby jego obraz zaginał, gdy nas nie będzie?

Dziękujemy za wszystkie ciepłe listy i telefony, które podbudowują nasze siły do dalszej pracy – jest to naprawdę bardzo miłe. Dziękujemy także darczyńcom, którzy wsparli finansowo nasze wydawnictwo większymi wpłatami na fundusz wydawniczy. Dzięki temu mogliśmy wydać numer specjalny oraz zwiększyć liczbę stron „Głosów”.

Za wsparcie naszego wydawnictwa dziękujemy następującym prenumeratorom: Danuta Balic (Kędzierzyn-Koźle), Kazimierz Bielecki (Legnica), Katarzyna Cilińska (Nowa Sól), Andrzej Durbakiewicz (Olsztyn), Ewa Grzelecka (Szczecin), Eugeniusz Jaworski (Żagań), Andrzej Kuc (Świdnica), Andrzej Madej (Kraków), Alicja Nocoń (Kędzierzyn-Koźle), Stanisław Laszczyński (Lublin), Władysław Laszczyński (Prusy), prof. Stanisława Licznar (Wrocław), Alicja Rudziewicz-Załęska (Wrocław), Tadeusz Ostrowski (Nowe Miasteczko), Romana Szczepkowska (Legnica), Bronisław Świątkiewicz (Wrocław), Józef Wysoczański (Poznań), Renata Zawilska-Wojtasiak (Poznań), Krystyna Ziemba (Wąsosz).

Szczególne podziękowania kierujemy do darczyńców: Franciszek Bąkowski (Poznań), Zofia Budzyńska (Shirebrook – Anglia), Bolesław Borowicz (Warszawa), Bogusława Duszkiewicz (Bydgoszcz), Hanna Fedorowicz (Salzburg – Austria), Janusz Furmaniuk (Poznań), Anna Garstecka (Poznań), Jerzy Horodecki (Warszawa), Tadeusz Józków (Milicz), Zdzisław Nicpoń (Wąsosz), Mila Sandberg (Montreal – Kanada), Władysław Ostrowski (Szczecin).

Korzystając z okazji, składamy wszystkim Państwu – naszym Czytelnikom i Sympatykom jak najlepsze życzenia świąteczne, a także życzenia zdrowia i pomyślności w nowym roku 2022. Mamy nadzieję, że dalej będziemy się spotykać w tym samym, a może i rozszerzonym gronie, czego i Państwu, i sobie życzymy.